



magazyn na Wielkanoc

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Kidawa-Błońska, Montefiore,
kard. Ryś, o. Patton, Bonda

PIĘĆ WAŻNYCH ROZMÓW NA WIELKANOC

str. 8

GOLGOTA. SKAŁA
PEŁNA SYMBOLI
I ZNACZEŃ

str. 6

NIEPRZEMIJAJĄCE
ZNACZENIE
PRZYJAŹNI

str. 22-23



W poniedziałek magazyn

● Publiczność jest dla mnie bardzo łaskawa - Krystyna Prońko w obszernym wywiadzie opowiada nam o swojej karierze, show-biznesie i swoim życiu

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

NIE JESTEŚMY RÓWNI WOBEC ŚMIERCI. TEJ RÓŻNICY NIE DA SIĘ ZAMILCZEĆ ANI ZAGADAĆ

Dziś Wielki Piątek. Zsekularyzowany świat chce zapomnieć o krzyżu, ale to nie jest takie proste. Opowieść o ukrzyżowaniu zmieniła bowiem naturę naszej cywilizacji, co pokazał René Girard w klasycznej pracy „Kozioł ofiarny”. Nota bene Girard podkreślał, że został chrześcijaninem nie wskutek iluminacji czy doświadczenia duchowego, tylko na drodze racjonalnej analizy.

Zostawmy jednak Girarda. Zainteresowało mnie, że coraz częściej ujawnia się pogląd, wedle którego ukrzyżowanie ma być najważniejszym dowodem na istnienie Jezusa. Zwolennicy tego punktu widzenia podkreślają, że pierwsi chrześcijanie nie mogli tego wymyślić. Nie dość, że sama koncepcja Boga-Człowieka wykraczała poza mentalność czasów, to Mesjasza - Boga - Proroka na krzyżu nikt by nie „tworzył”, ponieważ w tamtym kontekście kulturowym ukrzyżowanie oznaczało śmierć odrażającą, hańbiącą i uwłaczającą godności.

Liliana Sonik
publicystka



Rzymianie krzyżowali relatywnie często, lecz była to kara przeznaczona dla niewolników, zdrajców, przestępców o najniższym statusie. Ludzie ważni, jak obywatele Rzymu, ginęli ścięci mieczem. Inni ginęli na cyrkowych arenach, rozszarpywani przez dzikie zwierzęta albo zrzućani ze Skały Tarpejskiej. Palono też żywcem, a ojczobójców wrzucano w worku do morza. Jednak żadna z tych przerażających przecież kar nie była odczona taką pogardą i nie budziła takiego wstrętu, jak krzyż - w powszechnym przekonaniu zaprzeczenie śmierci heroicznej.

Jezusa ukrzyżowano poza miastem. To było regułą. Miało podkreślać wykluczenie ze wspólnoty. Odbierano nie tylko życie, ale i honor.

Dlatego badacze tacy jak Andreas Dettwiler uznali, że ukrzyżowanie musiało się wydarzyć, ponieważ nikt o zdrowych zmysłach nie zmyśliłby dla uwielbianego bohatera śmierci obarczonej takim piętnem wzgardy. Krzyż był więc dla pierwszych chrześcijan problemem. W konsekwencji doszło do radykalnej zmiany samej idei Boga i boskości. Nastąpiło zerwanie z koncepcją bóstwa, jaką reprezentują bo-

gowie greccy czy rzymscy. Nieśmiertelnych mieszkańców Olimpu łączyło z ludźmi to, że kierowali się żądzami, kaprysami i emocjami; nie hamowały ich jednak żadne względy. Czasem brały górę emocje „łaskawe”, kiedy indziej okrutne i bezwzględne. Z kolei Bóg Izraela był niedosięzną tajemnicą. Nawet imienia Jahwe nie wymawiano, a gdy Mojżesz pytał Boga o imię, usłyszał „Jestem, który jestem”.

Takie są „mapy mentalne”, kiedy pojawia się Chrystus. Bóg - człowiek „we wszystkim do nas podobny, prócz grzechu”. Umiera i po trzech dniach zmartwychwstaje. W dodatku obiecuje, że kto

w niego wierzy, „choćby i umarł, żyć będzie”.

To wszystko jest tak nieprawdopodobne, tak nie do zaplanowania, że musi być prawdziwe - mówią chrześcijańscy myśliciele. Dla innych to tylko skandal lub głupota. Albo jedno i drugie. Nic w tej negacji nowego. Przecież już św. Paweł pisał, że Chrystus ukrzyżowany „jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan”.

Niezależnie od wiary czy niewiary, Wielki Piątek jest doskonałym dniem do eschatologicznej refleksji. Świąt wielkanocnych jeszcze komercja nam nie odebrała, choć oczywiście trwa ofensywa reklam żurku, kiełbasy, zajączków i kurek. Na razie są na straconej pozycji. Za to znakomicie działa mechanika chrześcijaństwa świeckiego, odartego z tajemnicy bliskości świata niewidzialnego.

W ostatnim numerze „Pressji” zatytułowanym „Zaczarowany katolicyzm” znajdziemy ciekawy esej, w którym Piotr Kaszczyszyn na to

właśnie zwraca uwagę. „Odczarowany chrześcijanin” może pomylić Kościół z Organizacją Narodów Zjednoczonych, bo za jego dziejową misję uzna naprawianie świata. Chrystus byłby w tej koncepcji politycznym reformatorem. Inni zamieniają chrześcijaństwo w Duchowy Dom Pomocy Społecznej, a szlachetne działania charytatywne wyczerpują misję. Kościół bywa też utożsamiany ze szkołą etycznych manier, gdzie chodzi głównie o to, aby stać się kulturalnym człowiekiem z religijną klasą. Popularne jest też postrzeganie katolicyzmu jako terapeutycznej oazy, gdzie modlitwa staje się paraterapeutyczną rozmową z samym sobą. „Dobrostan psychiczny zamiast mglistych powodów wieczności - tak może wyglądać dojrzała postać odczarowanego chrześcijaństwa, które się do cna »zdocześniło«”.

Tymczasem jeśli szukać najważniejszej różnicy między chrześcijaninem a niewierzącym, to tkwi ona w stwierdzeniu, że nie jesteśmy równi wobec śmierci. Tej różnicy nie da się ani zamilczeć, ani zagadać. Albo uważamy, że śmierć jest nieodwołalnym końcem, albo wierzymy, że najciekawsze dopiero przed nami.

CO SIĘ DZIEJE W JAJKU PODCZAS GOTOWANIA?

Skoro jest Wielkanoc, to zainteresujmy się jajkami. W wielu domach dzieci zajmują się przygotowaniem pisanek. Zwykle jajko po ładnym pomalowaniu staje się (na chwilę) prawdziwym dziełem sztuki - i w tej postaci zdobi najpierw koszyczek podczas święcenia (jeśli ktoś kulturuje tę piękną tradycję), a potem świąteczny stół. Ciekawym przemianom podlega także wnętrze jajka - i o tym chciałbym opowiedzieć.

Jak wszyscy wiedzą, we wnętrzu jajka są dwa obszary: białko i żółtko. W świeżym jajku są one oba płynne, chociaż różnią się kolorem, zapachem, smakiem i właściwościami chemicznymi i fizycznymi. Żółtko ma zapewnić rozwijającemu się kurczątku wszystko, czego potrzebuje

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



do życia i rozwoju. W szczególności zawiera ono różne białka (rozumiane jako substancje chemiczne), węglowodany, tłuszcze, witaminy A, D, E i K, a także minerały: żelazo, fosfor i cynk. Natomiast białko jest wodnym roztworem protein, głównie albumin i różnych aminokwasów. Podczas rozwoju kurczątko jest ono zapasem tych materiałów, których formujący się organizm ptaszka nie jest w stanie sam wytworzyć.

Wszyscy także wiedzą, że przed ugotowaniem białko i żółtko można wykorzystać

w różny sposób, na przykład białko można ubić na sztywną pianę, natomiast z żółtkiem to się nie udaje. Za to z żółtka można sporządzić kogel-mogel.

Warto zauważyć, że te dwa obszary zachowują się całkiem odmiennie podczas gotowania. Żółtko nieco się ścina, ale obserwowana zmiana nie jest jakaś radykalna. Czasem, w przypadku zbyt długiego gotowania, na powierzchni żółtka pojawia się nalot niebieskiego lub zielonego koloru będący wynikiem reakcji chemicznej

między zawartymi w żółtku siarką i żelazem. Psuje to estetykę, ale ten nalot jest absolutnie nieszkodliwy.

Natomiast to, co się dzieje z białkiem (rozumianym tu jako płyn wypełniający 60% objętości jajka) jest zdumiewające. A właściwie byłoby zdumiewające, gdyby nie setki przypadków, w których każdy z nas ten zadziwiający proces obserwował. Chodzi o to, że pod wpływem gotowania płynna, bezbarwna i przezroczysta substancja zamienia się w substancję stałą, zabarwioną na białe i właściwie nieprzezroczystą.

Nic innego tak się nie zachowuje. Gotowany ziemniak jest podobny do surowego.

Gotowane mięso też. Natomiast białko jajka - nie.

Spróbujmy to wyjaśnić. Ustaliliśmy wcześniej, że białko w surowym jajku to wodny roztwór protein. Mają one formę długich łańcuchów zbudowanych z aminokwasów. Łańcuchy te są pozwijane, bo pewne ich fragmenty są hydrofilne i dążą do tego, by być jak najbliżej cząsteczek wody, a inne są hydrofobowe i dążą do tego, by się od wodnego otoczenia oddalić, schować się w środku takiej pozwijanej cząsteczki. Przez zbiorowość takich pozwijanych cząsteczek światło przechodzi bez przeszkód, stąd płynne białko widzimy jako przezroczyste i bezbarwne.

CZĄSTECZKI PROTEIN ZACZYNAJĄ SIĘ SKLEJAĆ ZE SOBĄ, ŚWIATŁO NIE MOŻE SIĘ PRZEBIĆ I BIAŁKO PRZESTAJE BYĆ PRZEZROCZYSTE

Gdy jajko zaczynamy gotować to dostarczana z zewnątrz energia cieplna jest znacznie potężniejsza od tych sił, które wynikały z hydrofilności i hydrofobowości. W efekcie pozwijane cząsteczki protein zostają rozwinięte. Zaczyna się to, gdy temperatura osiąga 600C i staje się masowe, gdy temperatura przekracza 800C. Te rozwinięte cząsteczki protein zaczynają się sklejać ze sobą, w wyniku czego światło nie może się przebić przez taki gąszcz i białko jajka przestaje być przezroczyste. Odbija światło o wszystkich barwach, a wiadomo, że suma strumieni światła o wszystkich barwach daje barwę białą. Co więcej, te posklejane cząsteczki nie mogą się swobodnie poruszać w stosunku do siebie nawzajem, więc białko twardnieje. Ale my widząc to, nie musimy się zastanawiać nad tymi wszystkimi molekularnymi procesami, bo dla nas wystarczy stwierdzenie:

- O, już ugotowane!

Z czego jutro ...? DŁUGI JAK REKOPISY NIE PŁONA. ZAPROJEKTUJMY PRZYSZŁOŚĆ BEZ ZADŁUŻENIA

Rządzący prawie wszystkich krajów podobnie jak proletariusze również łączą się na świecie ze sobą tyle, że w zwiększaniu długów coraz bardziej nie do spłacenia. Proponowanym od ponad dekady „lekiem” na „kryzys zadłużenia” miałyby być wieczyste papiery dłużne rządów, co usilnie sufflowano do uszu warstwom rządzącym podczas Światowego Forum Gospodarczego w Davos. Znamienne jest, że rządy zaprzestały podawania swoim obywatelom nawet hipotetycznych terminów spłat zadłużenia, rozwodząc się wyłącznie o konieczności zaciągania kolejnych pożyczek i tworząc fałszywe alternatywy braku rozwoju bez dalszego popadania w długi. Narastające od dekad przeciążenie fiskalne społeczeństwa oraz realnej gospodarki są prostą konsekwencją braku konstytucyjnych ograniczeń dla władzy, która dla utrzymania jej nie cofnie się przed wejściem w spiralę zadłużenia nie do spłacenia.

Państwo w swej funkcji zostało sprowadzone do wieczystego zadłużania się bez możliwości spłaty zobowiązań a jedynie do coraz większego balansowania na granicy ich bieżącego obsługiwania i ich dalszego rolowania. Postępujące kaskadowo zadłużenie jest źródłem dezorganizacji państwa i atrofii jego międzynarodowej suwerenności. Zadłużenie nie jest zatem fantomowe czy widmowe, lecz ma materialny i niezwykle realny wpływ na jakość życia oraz samodzielność rządzenia.

Długi jak rękopisy nie płoną i są brzemieniem spadającym na nienarodzone pokolenia jako konsekwencja przede wszystkim złego rządzenia warstw uprzednio sprawujących władzę w ich ojczyźnie.

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



W czerwcu roku 1936 rządząca Polską junta ogłosiła „techniczne bankructwo”. W przesłanej wierzycielom nocie poinformowała o faktycznej niemożności obsługi zadłużenia na dotychczasowych zasadach oraz o konieczności renegocjacji lub zawieszenia spłaty części długów zagranicznych. Niemożność ich spłaty argumentowała możliwością zniszczenia gospodarki, do której sam doprowadziła swoją polityką skrajnej etatyzacji. Dla pozyskania tzw. dewiz junta zdecydowała się na sprzedaż zagranicę węgla ze stratą aby tylko pozyskać jakiegokolwiek obce waluty. W konsekwencji doprowadziła do braku tzw. dewiz i zawieszenia obsługi długu. Podobny mechanizm sprzedaży ze stratą eksportowanych towarów i usług aby za wszelką cenę pozyskać tzw. cenne dewizy stosowały władze PRL poczynając od władzy I sekretarza partii rządzącej Edwarda Gierka aż do eskalacji tej metody „gospodarowania” i realnego bankructwa podczas sprawowania władzy przez kolejnego sekretarza generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Przyrastające w sposób niezrozumiały logicznie zadłużenie i kolejne pożyczki czekające w Unii Europejskiej stały się pretekstem do wzmożenia „intelektualnego” na rzecz przyjęcia w Polsce euro jako narodowej waluty, co eliminowałoby ryzyko kursowe, ale wobec jednej tylko z walut. Dalsze zadłużanie będzie samo z siebie „bezpieczne”, jeżeli jak najszybciej przyjmie euro.

Na nic pamięć o utracie na kilkanaście lat suwerenności przez Grecję, w której decyzje podejmowała rada wierzycieli ze względu na wcześniejszą niemożność obsługi rządowych papierów dłużnych, jak to w historii Polski dwukrotnie w wieku XX miało miejsce. Nie ma takiej waluty ani zgromadzonych zapasów złota czy innych surowców, które pozwalałyby na „bezpiecznej” formie zadłużania”. Brak realnej odpowiedzialności rządzących nie skłania do zastanowienia się, że zadłużenie jest już fazą wyzbywania się samodzielności w sprawowaniu władzy i niejako zaproszenia zewnętrznych instytucji do zawiadywania zyskami z naszego państwa. Jeżeli obsługa długu kosztuje prawie tyle ile wydatki na obronę narodową, to jest to miara fundamentalnej wady ustrojowej prowadzącej prędzej czy później do upadku państwa.

Wydawałoby się, że widmowy przez dekady dług nie stanie się nigdy realny i wymagalny jak weksel bez protestu. Jednak trwające i nowe konflikty polityczno-militarne podniosły u zawsze rozemocjonowanych spekulacyjnych rynków finansowych poziom niecierpliwości poza dotychczasowe granice cierpliwości. Najbliższy stanowi w jakim znajdują się spekulacyjne rynki byłby hiperrealizm emocjonalny, który jest nurtem w sztuce wizualnej łączącym perfekcyjne wręcz fotograficzne odwzorowanie rzeczywistości z jednoczesnym intensywnym ukazywaniem stanów

psychicznych i uczuciowych. Hiperrealizm emocjonalny spekulacyjnych rynków finansowych oddziaływa z kolei na hiperrealizm zadłużeniowy rządów bezwolnych oraz coraz bardziej bezradnych wobec narastającego zadłużenia i rosnących oczekiwań oraz żądań tychże rynków. Bardzo często w Polsce, kiedy rządy podejmowały wyjątkowo sporadycznie ale jednak racjonalne decyzje dotyczące chociażby redukcji części przeciążenia fiskalnego to padały pytania jako groźby „a co na to rynki finansowe?”. Na takie dictum drżeli prominentni przedstawiciele państwa polskiego, bo zemsta i dyktat rynków finansowych może w ich wyobrażeniu doprowadzić do upadku każdego rządu. Stąd brnięcie w coraz większą nieelastyczność długu w stanie możliwej recydywy bankructwa państwa.

Przesłaniem najnowszego marcowego numeru „Finance & Development” International Monetary Fund poświęconego nadchodzącemu rozliczeniu długu jest wskazanie jak blisko jesteśmy fiskalnej przepaści. Cały numer jest przejawem systemu opóźnionego ostrzeżenia po latach aprobowania prowadzenia polityk tzw. luzowania ilościowego. W jednej z analiz „High Debt, Hard Choices” Era Dabla-Norris i Rodrigo Valdés obwieszcza, że era łatwego zaciągania pożyczek dobiegła końca, a rządy z powodu rosnących kosztów zadłużenia będą przymuszone do podejmowania decyzji, do których nie są przyzwyczajone, a sam wysoki poziom zadłużenia ogranicza możliwości reagowania kryzysowego. Sprawowanie władzy poprzez wydatki ponad stan prowadzi do sytuacji, kiedy rządzący stają wędług autorów przed pytaniami „Czyje priorytety będą finansowa-

wane? Czyje obciążenia zostaną odroczone? Na jakich warunkach?” Ponadto jak zauważają, „demografia potęguje to wyzwanie na dwa sposoby. Wraz ze starzeniem się społeczeństw koszty świadczeń emerytalnych i opieki zdrowotnej rosną szybciej niż wpływy z podatków. A tam, gdzie wskaźnik urodzeń spada, koszty te ponosi kurcząca się siła robocza”.

Na ile Polska Anno Domini 2026 wypełnia przesłanki przytaczanego artykułu, w którym zauważono, że „wiele zobowiązań emerytalnych i opieki zdrowotnej pozostaje poza bilansem państwa, a wraz ze starzeniem się społeczeństw te ukryte zobowiązania pojawiają się w budżetach, często z siłą destabilizującą. To stawia przed nami trudne wybory: podnieść podatki, obniżyć świadczenia, czy kontynuować zadłużanie się i po prostu odwlekać rozliczenie. Im dłużej odwlekane są trudne decyzje, tym bardziej nagła i uciążliwa będzie korekta, gdy wierzyciele lub rzeczywistość fiskalna w końcu wymuszają działanie”.

Kiedy zadłużenie cały czas narasta, a powiększająca się nierównowaga finansów publicznych zagraża funkcjonowaniu społeczeństwa oraz państwa jeszcze przed kryzysem i krachem w wyniku długu ponad miarę to fundamentalna jest transparentność i uzasadnienie dla wydatków rządowych. W obecnej sytuacji prędzej niż później dojdzie do momentu, w którym kolejne podwyżki opodatkowania zderzą się z tzw. krzywą Laffera i nie będzie już pieniędzy do pozyczenia na odpowiedzialnych warunkach na utrzymanie dynamiki wydatków sektora publicznego. Wówczas dojdzie do sytuacji według autorów, że „decydenci muszą otwarcie

mówić społeczeństwu o trudnych wyborach, a ludzie muszą zdawać sobie sprawę, że niektóre cenione programy nie mogą być kontynuowane bez dodatkowych zasobów lub reform. Zaufanie jest kluczowe dla tego równania. Ludzie muszą wierzyć, że poświadczenia będą sprawiedliwie rozdzielane, a reformy przyniosą wymierne korzyści. Ludzie chętniej poprą trudne środki, jeśli postrzegają politykę fiskalną jako kompetentną, przejrzystą i sprawiedliwą”. W Polsce z taką sytuacją mieliśmy do czynienia na przełomie lat 80. i 90. wieku XX, w której społeczeństwo doprowadzone na skraj biedy w systemie gospodarki permanentnego niedoboru zaakceptowało tzw. terapię szokową. Jednak szybko okazało się, że rządzący nie nadwyrażają się w prowadzeniu polityki kompetentnej, przejrzystej i sprawiedliwej, pozostawiając na pastwę swojego złego rządzenia całe grupy społeczne, którego symbolem stali się pracownicy Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Brak zmiany paradygmatu może doprowadzić do sytuacji w przywoływanej analizie, że „transfery i inne bieżące wydatki oraz obsługa zadłużenia mogą wypierać inwestycje w edukację, technologię i infrastrukturę, niszcząc dobrobyt kolejnego pokolenia”. Dlatego należy wymyślić Polskę od nowa i zaprojektować przyszłość wolną od długów, co nie jest możliwe bez przywrócenia wolności gospodarczej i uwolnienia pracy i polskiej przedsiębiorczości.

Andrzej Sadowski – założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

REKLAMA

0111470602

1.5%

Dowiedz się więcej

jak pomóc pomagać

KRS 0000154454

www.toz.pl

TOZYSTWO OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI W POLSCE

KIDAWA-BŁOŃSKA: W TEJ CHWILI W NASZYM CODZIENNYM ŻYCIU JEST ZA DUŻO POLITYKI

– Nie może być tak, że to jedyny temat rozmów przy rodzinnym stole. Życie to nie tylko polityka. Polityka weszła w nasze życie bardzo brutalnie. To źle, bo gubimy najważniejsze rzeczy, które mamy w życiu. Gubimy wartości, a bez wartości nie można się rozwijać, nie można żyć, nie można budować – mówi Małgorzata Kidawa-Błońska, marszałkini Senatu

Dorota Kowalska

Pani marszałkini, lubi Pani święta wielkanocne?

Tak, to najważniejsze święto. Wielkanoc to nadzieja, zmartwychwstania. Czas, gdy życie zwycięża śmierć, a to, co wydawało się końcem, staje się nowym początkiem. To także czas, który przynosi spokój, wytchnienie od codziennych spraw. Wszystko wtedy zwalnia, mamy czas zatrzymać się i cieszyć z tego, na co zazwyczaj brakuje nam czasu. Najbardziej cenimy w tych dniach to, że pozwalają nabrać optymizmu, dystansu, inaczej spojrzeć na świat.

Jak spędzacie Wielkanoc?

W domu, w najbliższym gronie. Chcemy po prostu być razem, bez żadnych innych zobowiązań. Mieć czas tylko dla siebie.

Święta wielkanocne to czas refleksji, prawda?

Wielkanoc przypomina nam o sile odrodzenia, o tym, że nawet po najtrudniejszych chwilach można się odbudować, nabrać nowej siły. W tych dniach przypominamy sobie, że dobro zwycięża nad złem, prawda nad kłamstwem. To święta, które uczą nas wiary w sens dobra. Pokazują, że warto być uczciwym, życzliwym i wiernym prawdzie, szanować się wzajemnie, nawet gdy nie jest to łatwe.

Pani ma jeszcze nadzieję, że polska klasa polityczna może ze sobą rozmawiać normalnie? Bez krzyków, wyzwisk, obelg?

Zawsze będę miała taką nadzieję, bo wierzę, że może przyjść oprzytomnienie. Ale żeby tak się stało, musimy zacząć od przywrócenia szacunku dla drugiego człowieka.

Wydaje mi się, że w wielu przypadkach wystarczy przestrzegać zasad dobrego wychowania. I rozmawiać, rozmawiać i jeszcze raz rozmawiać.

Widzi Pani początki tego ogromnego podziału na polskiej scenie politycznej, bo to nie katastrofa smoleńska go rozpoczęła - to się zaczęło dużo wcześniej.

Tak, to prawda, ale dopiero po katastrofie smoleńskiej zobaczyliśmy, że to nie tylko podziały, ale już nienawiść. Pękły kolejne granice.

Ale kiedy to się zaczęło?

To się zaczęło już w trakcie wyborów parlamentarnych w 2005 roku, kiedy miała powstać koalicja PO PiS. Atak PiS-u na Platformę Obywatelską pokazał, że mają za nic debatę o programie dla Polski, reformy państwa, że dla nich liczy się tylko władza. Z kimkolwiek i za wszelką cenę. Wtedy wybrali Samoobronę.

Ten podział na dwie polski wziął się wyłącznie z chęci posiadania władzy?

Tylko i wyłącznie z tego. PiS nie ma żadnej idei, żadnej wizji Polski. Dobitnie pokazało to ostatnich osiem lat ich rządów. Zobaczyliśmy tylko i wyłącznie myślenie o tym, żeby utrzymać władzę za wszelką cenę i z roku na rok pomnażać swoje majątki. Nie dopisujemy do tego żadnych wartości, żadnej ideologii, chodziło wyłącznie o władzę i pieniądze.

Nie chce mi się wierzyć! Naprawdę uważa Pani, że politycy PiS-u byli zdolni tak podzielić społeczeństwo tylko

i wyłącznie z powodu chęci władzy i pieniędzy?

Tak uważam. Widzimy dziś, nie tylko w Polsce, jak populistyczni politycy manipulują ludźmi, którzy są zagubieni we współczesnym świecie. Obiecują im: „Dostaniecie wszystko, bo jesteście najlepsi”. Każdy chce poczuć, że jest najlepszy, każdy chce czuć się w pełni zaakceptowany. Skrajni politycy bezwzględnie wykorzystują fakt, że wielu ludziom trudno jest dziś sprawdzić informacje, którymi jesteśmy zalewani. W dzisiejszych czasach, kiedy słyszymy tę ogromną ilość oszczerstw, fejków, nieprawdziwych informacji, ludziom bardzo trudno się odnaleźć, zrozumieć, co jest kłamstwem, a co prawdą. Musimy ten problem rozwiązać. Dlatego jako Senat ustanowimy rok 2027 rokiem bezpieczeństwa informacyjnego. Chcemy rozpocząć wielką akcję obywatelskiej edukacji w tej dziedzinie. Chcemy tłumaczyć ludziom, jak zachować bezpieczeństwo w odbieraniu informacji, jak rozróżniać prawdziwe informacje od tych fałszywych.

Ale przecież i po jednej, i po drugiej stronie są nie tylko ludzie zagubieni, są też intelektualiści, dziennikarze, publicyści, artyści.

**MUSIMY ZATROSZCZYĆ SIĘ
O LUDZI ZMĘCZONYCH I ZDEZORIENTOWANYCH NIEUSTAJĄCĄ
NAWAŁĄ INFORMACJI. NIE MOGĄ
BYĆ POZOSTAWIENI SAMI**

Zalew hejtu i skala dezinformacji w przestrzeni internetu jest dziś wyzwaniem dla nas wszystkich. Ale przede wszystkim musimy zatroszczyć się o ludzi zmęczonych i zdezorientowanych nieustającą nawałą informacji. Nie mogą być pozostawieni sami. Wtedy stają się podatni na przeciąganie na tę bardzo radykalną stronę polityki. Prawdy trzeba bronić, a z kłamstwem walczyć.

A co przyciąga tych drugich?

Nie chcę tu mówić ani o dziennikarzach, ani o artystach. Artyści zawsze byli uważani za tych, którzy kierują się intuicją społeczną. Jeśli popatrzymy na to, co robią w naszym kraju, to widać, że nie zgubili kompasu. Co do dziennikarzy, to środowisko jest bardzo podzielone. I też proszę zobaczyć, że mamy coraz mniej prawdziwych autorytetów dziennikarskich, co jest bardzo szkodliwe dla całego środowiska.

Podział polityczny dotyczy także naukowców, wykładowców, właściwie wszystkich. Nasze społeczeństwo jest podzielone pół na pół.

Niestety, tak. Ale te podziały są widoczne nie tylko w Polsce, ale na całym świecie.

To prawda, bo widać je w Stanach Zjednoczonych, we

Francji, Niemczech, Hiszpanii, Włoszech, praktycznie wszędzie.

We wszystkich krajach. Ale u nas ten spór polityczny przybrał wyjątkowo brutalną formę.

To można jeszcze zmienić? Jest szansa, żeby to odwrócić?

Jeżeli by takiej szansy nie było, to byłaby wielka katastrofa. Wierzę, że z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji nasze społeczeństwo potrafi wyjść. Paradoksalnie, Polacy najłatwiej jednoczą się w sytuacji największych zagrożeń.

Mam wrażenie, że społeczeństwo odsuwa się od polityki, być może widzi to zakłamanie, które w niej panuje.

Uważam, że w tej chwili w naszym codziennym życiu jest za dużo polityki. Nie może być tak, że to jedyny temat rozmów przy rodzinnym stole. Polityka weszła w nasze życie bardzo brutalnie. To źle, bo gubimy najważniejsze rzeczy, które mamy w życiu. Gubimy wartości, a bez wartości nie można się rozwijać, nie można żyć, nie można budować.

Polityka bardzo ludzi nakręca. Z czego to wynika? Z tego, że media nadają 24 godziny na dobę?

Na pewno, teraz mediów jest zdecydowanie więcej. Cały czas od rana do wieczora przetwarzane są informacje, często te same, trudno przed tym uciec. Jeżeli jeszcze popatrzymy, ile godzin ludzie spędzają przy komputerach czy przy smartfonach, to uświadomimy sobie, że nawet pracując, co chwilę sprawdzają, co

się wydarzyło. Kiedyś informacje docierały do nas z pewnym opóźnieniem, można było się jakoś na nie przygotować. Teraz wiemy natychmiast o wszystkim, co się dzieje.

Co zrobić, żeby znaleźć balans, równowagę? Bo, tak jak Pani mówi, nie można żyć wyłącznie polityką, a wiele osób to robi.

Każdy sam dokonuje wyboru. Ale trzeba pokazywać, że życie polega nie tylko na walce frakcji politycznych, ale na budowaniu. Kiedy spojrzymy, co możemy zrobić razem, od małych rzeczy zaczynając, może zaczniemy budować zaufanie społeczne.

Mam wrażenie, że zamknęliśmy się w swoich bańkach, nie otwieramy się na innych. Ciężko przychodzi nam wybaczenie, prawda? A święta wielkanocne to czas wybaczenia właśnie.

Wybaczenie jest wielką sztuką. To pokazanie, że patrzymy na drugą osobę jak na człowieka, z którym chcemy rozmawiać, a nie można z kimś rozmawiać o przyszłości, jeżeli nie potrafimy wybaczać rzeczy z przeszłości. Wybaczenie otwiera drogę nadziei. A nie da się żyć bez nadziei.

Chodzi mi o to, że nie potrafimy spojrzeć na tę drugą stronę z wyrozumiałością, pewne rzeczy sobie wybaczyć i iść dalej.

Jeżeli chcemy budować przyszłość, musimy iść i patrzeć przed siebie, a nie za siebie. To bardzo spowalnia i jest niebezpieczne.

Dlaczego cały czas patrzymy za siebie? Mówimy wciąż



FOT. ADAM JANKOWSKI

Kidawa-Błońska: Od wszystkich, nie tylko od polityków, od wszystkich powinniśmy wymagać więcej. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność za obronę demokracji

o katastrofie smoleńskiej, o II wojnie światowej, domagamy się reparacji od Niemiec. To oczywiście ważne, ale nie może być wyznacznikiem naszej teraźniejszości. To są historie, które młodym ludziom nic tak naprawdę nie mówią. Dlatego też cała grupa polityczna traci kontakt z młodym pokoleniem, które nie rozumie problemów, które chcemy bez końca poruszać, ran, które chcemy wciąż na nowo rozdrapywać. Możemy zgubić całe pokolenie ludzi młodych, które nie rozumie, o co się kłócimy.

Jaki jest dzisiaj największy problem w polskiej polityce? Właśnie ten podział!

Największym problemem polskiej polityki jest nagminne używanie przez populistycznych radykałów kłamstwa w życiu publicznym. To jest dziś największe wyzwanie dla sił demokratycznych, nie tylko zresztą w Polsce. Warunkiem obrony demokracji jest zachowanie otwartej debaty publicznej i uczynienie jej odporną na kłamstwo i manipulację.

Mam wrażenie, że społeczeństwo mniej czyta, mniej analizuje, właściwie „kupi” to, co wychodzi z sieci, prawda? Manipulacje przy użyciu sztucznej inteligencji, dezinformacja i język nienawiści mają na celu odudzenie ludzi samodzielnego myślenia. Odbiorcy dostają papkę i mają się nią posilić. Czasami sensacja jest łatwiejsza do zrozumienia, do zaakceptowania niż twarda rzeczywistość. To jest psychologia oddziaływania na ludzi.

Tylko w takiej sytuacji można by wymagać od polityków trochę więcej. Od wszystkich, nie tylko od polityków, od wszystkich powinniśmy wymagać więcej. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność za obronę demokracji i wolności.

Kiedyś ludzie szli do polityki, bo chcieli coś zmienić, dzisiaj idą, o czym sama Pani wspominała, żeby zarabiać pieniądze.

Na szczęście nie wszyscy. W Koalicji Obywatelskiej widzę bardzo wielu polityków

starszych i młodszych, którzy robią wspaniałe rzeczy, walczą o sprawy ważne dla zwykłych ludzi. Wiem, jak ważne są dla nich idee, wartości, rozwój Polski i lokalnych małych ojczyzn. Problem w tym, że zarówno w Polsce, jak i w Europie często głośniejsi są radykalni populiści. Politycy centrowi, rozsądni, umiarkowani muszą nieustannie uczyć się, jak skutecznie przebijają się przez populistyczną propagandę. Koalicja Obywatelska coraz lepiej sobie z tym radzi, ale to będzie już stałe wyzwanie w nadchodzącym czasie.

Wydaje się, że obecnie największy kłopot polskiego rządu to współpraca z prezydentem Nawrockim.

Największe wyzwanie dla polskiego rządu to zachowanie bezpieczeństwa - chodzi o to, żeby świat nie rozpadł się na naszych oczach. Zawsze tam, gdzie można prowadzić dialog, łatwiej jest budować. Rzeczywiście, w Polsce mamy wyjątkową sytuację. Chyba pierwszy raz w historii prezydent nie chce być prezydentem Polski, tylko prezydentem, który ma jednego wroga: Koalicję Obywatelską, i chce walczyć z tym wrogiem. A przecież prezydentem nie jest się po to, żeby walczyć z rządem, tylko po to, żeby wspierać i budować bezpieczeństwo kraju.

Chyba została przekroczona pewna granica, bo wydawało się, że kwestie bezpieczeństwa kraju są wyjęte poza nawias sporu politycznego. Tymczasem prezydent zawetował unijny program SAFE, za którym optowali nie tylko politycy koalicji rządzącej, ale większość Polaków i wojskowi. PiS wielokrotnie udowodnił, że myśmy tę granicę już dawno przekroczyli. Ale prezydent Nawrocki pokazuje, że jest gotów przekraczać kolejne granice kosztem bezpieczeństwa Polski.

Ale wydawało się, że sprawy bezpieczeństwa kraju są ważne dla wszystkich.

Powinny być najważniejsze dla wszystkich, nie może być inaczej, po prostu. A prezydent nie podpisał ustawy wprowadzającej unijny program SAFE, bo walczy z rządem. Prezydent nie myśli o rozwiązaniach dobrych dla kraju, tylko o tym, jak osłabić rząd Donalda Tuska, jak utrudnić mu życie, co zrobić, żeby ten rząd miał coraz gorzej. To sytuacja bez precedensu. Nigdy w historii czegoś takiego nie było.

Jak w takim razie ten rząd ma pracować?

Musi robić swoje, szukać i wprowadzać zmiany, które może przeprowadzić bez zgody prezydenta, wszystko zgodnie z konstytucją. Musi

działać po prostu w inny sposób. Nie można załamywać rąk, mówić, że się nie da. Trzeba robić wszystko to, co jest możliwe, żeby Polska się rozwijała. I proszę nie zapominać: Polska stała się dwudziestą największą gospodarką świata. Stało się coś, co kiedyś wydawało się rzeczą niemożliwą. Mimo tak trudnej sytuacji politycznej w naszym kraju. To znaczy, że potencjał Polek i Polaków jest ogromny, potrafi pokazać swoją siłę ponad podziałami politycznymi.

Właśnie, mówimy tylko o negatywach. Może rząd za mało mówi o tym, co nam się udało, w jakim momencie dzisiaj jesteśmy.

Jesteśmy w momencie trudnym, bardzo trudnym, bo za naszą wschodnią granicą trwa wojna. Putin pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Mamy niestabilną sytuację na Bliskim Wschodzie, jest wiele ognisk zapalnych. Porządek świata na naszych oczach zmienia się, ale mimo to ludzie w Polsce pracują, rozwijają kraj. Nie poddają i ciągle mają apetyt na sukces. I to jest siła Polski.

Może za mało o tym mówimy! Nie ma Pani wrażenia, że dociera do nas zbyt dużo negatywnych informacji, a za mało tych pozytywnych?

Bo tych pozytywnych rzeczy wcale jest mało, ale one są bardzo ważne. Zresztą proszę spojrzeć na jakikolwiek serwis informacyjny. Same złe informacje: wojny, kryzysy, zbrodnie, patologie. I tak od rana do wieczora. Każdy pasek: „Zabity, zamordowany, wypadek, ostrzelany”. Ludzie są atakowani tysiącem złych informacji, bo to wszystko dzieje się na świecie i trudno się dziwić, że patrzą na to z wielkim zaniepokojeniem.

Czego by sobie Pani życzyła w polskiej polityce? Jakie ma Pani marzenia?

Bardzo bym chciała, żeby w polskiej polityce zaczęły obowiązywać: kultura, dobre wychowanie i szacunek dla przeciwnika politycznego. I prawda. Te cztery rzeczy.

A czego by Pani życzyła Polakom? Więcej dystansu do polityki?

Polakom życzyłabym, żeby nie tracili ducha działania, solidarności i żeby patrzyli na to, co w życiu najważniejsze: na rodzinę, na dzieci, na wnuki. Polityka jest bardzo ważna, ale nie może zdominować całego naszego życia.

Jak Pani myśli, jakie będzie najbliższe półtora roku w polskiej polityce? Bo chyba ciężkie, prawda?

Na pewno będzie bardzo trudne, ale jednocześnie bardzo ciekawe. I mam nadzieję, że te półtora roku pozwoli nam trochę tę trudną sytuację uspokoić. Liczę, że wybory parlamentarne przyniosą pozytywne rozstrzygnięcia dla Polski w Europie, dla Polski solidarnej, demokratycznej, dla Polski bezpiecznej, dla każdej Polki i każdego Polaka.

Liczy Pani na to, że przez te półtora roku rząd przekonają do siebie tylu Polaków, że wygracie te wybory?

Wierzę, że wygramy te wybory, ale powiem też, że półtora roku w polityce to bardzo długi czas. Tym bardziej że właściwie każdy dzień prowadzi do nowych, zaskakujących rzeczy. Wszystko jest możliwe. Dlatego trzeba zachować odpowiedzialność, spokój, uczciwość i trzeba być pracowitym.

Żyjemy w totalnym biegu, natłoku informacji. Może warto czasami zwolnić kroku, choćby teraz, podczas świąt?

Ten pęd jest ogromny. Dlatego tak ważna jest refleksja, a te święta to doskonały czas, żeby na chwilę się zatrzymać. Życzę tego nam wszystkim, zdrowych, spokojnych świąt wielkanocnych!

MATERIAL INFORMACYJNY ZCK

0011502313

WIOSNA JAZZOWA ZAKOPANE 2026

NADA RYTM TEGOROCZNEJ MAJÓWCE POD TATRAMI! 1-3 maja 2026

Trzy dni, największe gwiazdy i wyjątkowa atmosfera pod Tatrami - Wiosna Jazzowa Zakopane powraca w nowej, intensywniej formie.

Bilety są już w sprzedaży.

To jeden z najważniejszych festiwali jazzowych w Polsce i rozpoznawalna marka w Europie Środkowej, od lat obecna w ramach United Europe Jazz Festival. Wiosna Jazzowa łączy pokolenia, prezentuje szeroką paletę stylistyczną i konsekwentnie buduje swoją pozycję dzięki najwyższemu poziomowi artystycznemu oraz obecności największych nazwisk sceny muzycznej.

Tegoroczna edycja to skondensowana, trzydniowa formuła pełna gwiazd i wyjątkowych muzycznych spotkań. **1 maja** na rozpoczęcie muzycznego

„setu” na scenie wystąpią zwycięzcy tegorocznej edycji konkursu na „Jazzowe Talenty” – Szymon Chołomiej Kwartet, tuż po nim posłuchamy koncertu poświęconego Jerzemu „Dudusiowi” Matuszkiewiczowi w wykonaniu Kwartetu Andrzeja Jagodzińskiego i Agnieszki Wilczyńskiej. Finałem dnia będzie występ Leszka Możdżera – jednego z najwybitniejszych polskich pianistów, który zaprezentuje program oparty na twórczości największych polskich kompozytorów.

2 maja to „Ladies' Night” – na scenie pojawią się m.in. Paper Moon Trio, amerykańska wokalistka Siggy Davis oraz legenda polskiej sceny – Grażyna Łobaszewska.

3 maja przyniesie finał pełen jazzu, fusion i elektroniki – wystąpią Martin Brunner Trio, Maciej Sikała oraz

kultowy zespół SBB w oryginalnym składzie.

Partnerem wydarzenia jest Program 1 Polskiego Radia oraz Radio Kraków, które będą nadawały bezpośrednio z Zakopanem.

Wiosna Jazzowa to nie tylko koncerty, ale także niepowtarzalna atmosfera, piękno Tatr i muzyczne emocje na najwyższym poziomie. Jeśli jazz na szczytach – to tylko w Zakopanem. Bilety dostępne na stronie www.zakopane-sklep.pl Więcej informacji na www.festiwale.zakopane.pl/wiosna-jazzowa

Wydarzenie dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.



organizatorzy

ZAKOPANE
ZAKOPANE CENTRUM KULTURY

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut
Muzyki i Tańca

partner główny

MAŁOPOLSKA

partner strategiczny

NOSA LOWY
HOTELI

Obecna bazylika Grobu Świętego przechowuje i chroni najważniejsze miejsca święte związane z tajemnicą naszego odkupienia, a dokładniej miejsca związane z ukrzyżowaniem, śmiercią i pochówkiem Jezusa Chrystusa oraz z Jego zmartwychwstaniem. Dla chrześcijan Wschodu miejsce to jest po prostu Anastasis, czyli Zmartwychwstaniem. Zanim jednak dostrzemy do paschalnego przesłania pustego Grobu (które będzie przedmiotem kolejnego artykułu), trzeba zatrzymać się przy skale Golgoty, czyli przy tajemnicy krzyża.

Współczesne badania archeologiczne, wsparte studiami franciszkanina Virgilia Corbo oraz najnowszymi badaniami prowadzonymi przez zespół profesor Franceski Romany Stasolli, pomogły nam dogłębnie poznać historię tego miejsca. W wiekach VII-I p.n.e. obszar ten był rozległym kamieniołomem położonym poza murami Jerozolimy. Ówczesni kamieniarze poszukiwali kamienia malakcy, cenionego za swoją twardość, lecz właśnie w miejscu dzisiejszej Kalwarii natrafili na skałę gorszej jakości, kruchą i żyłkową. Ten fragment skały został więc oszczędzony i porzucony, pozostając jako odosobnione wzniesienie.

Z biegiem wieków doły powstałe w wyniku wydobycia wypełniły się gruzem i ziemią, przekształcając ten teren w podmiejską nekropolię, przerwaną niewielkimi działkami rolnymi. Wyjaśnia to doskonale opis ewangelisty Jana: „Na miejscu, gdzie Go ukrzyżowano, był ogród”. Golgota, „miejsce czaszki”, była więc od początku „podzielona na różne własności: jedną, która mogła należeć do władzy, gdzie można było dokonywać ukrzyżowań; jedną należącą do ogrodnika lub rolnika oraz jedną, której właścicielem mógł być Józef z Arymatei”.

Miejsce ukrzyżowania było więc naturalnym piedestałem idealnym dla egzekucji rzymskich, które wymagały miejsc widocznych i położonych blisko dróg, aby pełniły funkcję odstraszącą. Wrażliwość żydowska wymagała ponadto, aby odbywało się to poza murami miasta, na wzór praktyki kamienowania wykonywanego poza obozem zarówno wobec bluźnierców (por. Kpł 24,14), jak i tych, którzy łamali szabaty (por. Lb 15,35-36).

Kalwaria

Obecnie Kalwaria jest - można powiedzieć - podwyższoną kaplicą boczną wewnątrz bazyliki. Pierwotne wzniesienie zostało w nią włączone. Architekci Konstantyna pracowali bowiem od 326 r. n.e., aby wyodrębnić Grób oraz miejsce Ukrzyżowania, wy-

ŚLADAMI JEZUSA. SKAŁA GOLGOTY

Obecna bazylika Grobu Świętego przechowuje i chroni najważniejsze miejsca święte związane z ukrzyżowaniem, śmiercią i pochówkiem Jezusa Chrystusa

o. Francesco Patton, były Kustosz Ziemi Świętej (Vatican News)



Peter Paul Rubens „Golgota”, obraz z 1638 r. Oryginał znajduje się w muzeum w Toronto w Kanadzie

równując cały teren i usuwając sztuczne nasypy oraz istniejące wcześniej świątynie pogańskie wzniesione z woli cesarza Hadriana.

Skała Golgoty została „wyrzeźbiona” i uporządkowana: otaczając ją skałę usunięto, pozostawiając jedynie centralny monolit. Dziś, wchodząc po stromych stopniach prowadzących do kaplicy, stąpa się po tej samej skale, która widziała Chrystusa oddającego za nas życie. To na tym wzniesieniu modlił się o przebaczenie dla swoich oprawców i przyjął dobrego łotra; to właśnie tam powierzył nas Matce i Matkę nam, poprosił o napój, przeszedł od poczucia opuszczenia przez Boga do zawierzenia się w ręce Ojca, doprowadzając do wypełnienia sens wcielenia i stając się naszym pokojem oraz pojednaniem.

Chroniony przez szklane osłony kamień ukazuje głęboką szczelinę. Nie jest to jedynie fakt geologiczny: według tradycji stanowi ona pamiątkę trzęsienia ziemi opisanego w Ewangeliach (por. Mt 27,51), fizyczny znak pęknięcia oddzielającego stary świat od nowego stworzenia, równoczesny

z rozdarciem zasłony świątyni, które oznacza przejście od starej świątyni do nowej - którą jest sam Jezus (por. J 2,19).

Grób Adama

Dokładnie pod ołtarzem Kalwarii, na poziomie posadzki bazyliki, znajduje się Kaplica Adama. Tutaj symbolika archeologiczna i teologiczna łączą się w sposób nierozdzielny. Szczelina widoczna na wyższym poziomie sięga aż tutaj, odsłaniając wnętrze skały. Według bardzo starej tradycji czaszka pierwszego człowieka, Adama, została pogrzebana właśnie pod miejscem ukrzyżowania „Nowego Adama”.

Znaczenie tego jest niezwykle wymowne: krew Chrystusa, spływając przez pęknięcie ziemi, dociera do szczytków praojca, obmywając grzech

pierworodny w chwili samej ofiary krzyża. Ta przestrzeń, gdzie naga skała wyraźnie wyłania się ze ścian, stanowi most między czasem prehistorycznym stworzenia a historycznym czasem Odkupienia. To tutaj można zrozumieć, dlaczego Golgota jest szczytem świata: nie ze względu na swoją wysokość fizyczną, lecz głębię tajemnicy, którą zawiera. Na tej interpretacji opiera się również ikonografia, która często przedstawia Ukrzyżowanego z czaszką u stóp - symbolem Adama. Nawet sama nazwa „Golgota”, czyli „miejsce czaszki”, mogła sprzyjać takiemu odczytaniu.

Hadrian

Paradoksalny aspekt historii Golgoty wiąże się z cesarzem Hadrianem. Po stłumieniu po-

Polska
Piątek-poniedziałek, 3-6.04.2026

wstania Bar Kochby w 135 r. n.e. postanowił on zatrzeć wszelkie ślady tożsamości żydowskiej i chrześcijańskiej w Jerozolimie, przekształcając ją w Aelia Capitolina. Aby zbezczeszczyć miejsca święte, Hadrian kazał zbudować rozległą sztuczną platformę nad Golgotą i Grobem, wznosząc nad tym drugim świątynię poświęconą Jowiszowi, a nad pierwszym posąg Afrodyty.

Starożytni historycy chrześcijańscy, tacy jak Euzebiusz z Cezarei, interpretowali to działanie jako próbę wykorzenienia kultu. Jednak z punktu widzenia archeologii, przykrywając to miejsce tonami materiału i „pieczętując” je pogańskim sanktuarium, cesarz nieświadomie zachował jego pierwotny układ, chroniąc go przed erozją i umożliwiając, by dwa wieki później cesarzowa Helena oraz biskup Jerozolimy Makary mogli je zidentyfikować. Bez tej pogańskiej konstrukcji pamięć o Golgocie mogłaby zginąć wśród ruin miasta nieustannie się zmieniającego.

Święta Helena

W głębi bazyliki, schodząc jeszcze niżej niż poziom skały Kalwarii, dociera się do Kaplicy św. Heleny, a następnie do groty Odnalezienia Krzyża Prawdziwego, znajdującej się w jednej z najstarszych części dawnego kamieniołomu. Helena przybyła do Jerozolimy w 326 r. n.e. z jasno określonym celem: odnaleźć najważniejsze Miejsce Święte oraz najcenniejszą relikwię - krzyż, na którym umarł Jezus Chrystus.

„Legenda” o odnalezieniu trzech krzyży przekazywana jest w dwóch tradycjach: Rufin z Akwilei opowiada o ciężko chorej szlachciance, która zostaje uzdrowiona przez dotknięcie Krzyża Prawdziwego; natomiast Sokrates Scholastyk i Sozomen relacjonują, że biskup Makary polecił przyłożyć trzy krzyże do ciała zmarłego, który - dotykając właściwej relikwii - powrócił do życia.

Kaplica Odnalezienia, ze swoimi surowymi, skalnymi ścianami - na których po stronie wschodniej „widoczne są fragmenty malowideł, być może z XII wieku, przedstawiające Chrystusa ukrzyżowanego (zachowanego od pasa w dół). W przestrzeni między rękami Maryi i Jana wyłania się jeszcze starszy fresk” - stanowi świadectwo kluczowego przejścia od ustnej tradycji Kościoła pierwotnego do dążenia epoki konstantyńskiej do nadania wierze form monumentalnych.

Bazylika Męczeństwa

Pierwszą wielką budowlą wzniesioną z woli Konstantyna była bazylika Męczeństwa, konsekrowana 13 września 335 r. Nie należy jej wyobrażać sobie jako dzisiejszej budowli o planie krzyża, lecz jako ogromną halę pięcionawową,

skierowaną na zachód - ku Kalwarii. W tym okresie Golgota pozostawała na otwartej przestrzeni, na dziedzińcu otoczonym portykami, który stanowił łącznik między bazyliką Męczeństwa a Anastasis.

Pątniczka Egeria w IV wieku opisuje liturgie, które fizycznie przemieszczały się między tymi przestrzeniami, podążając za kolejnymi etapami dramatu Męki Pańskiej. Kalwaria była wówczas jeszcze odsłoniętym skalnym wzniesieniem, ozdobionym jedynie wielkim krzyżem wysadzonym klejnotami. Taki układ przetrwał niemal trzy stulecia, aż do najazdu perskiego w 614 r. i następującego po nim pożaru, które zapoczątkowały długą serię zniszczeń i odbudów.

Skała, która stała się kamieniem węgielnym

Golgota, mimo zniszczeń, jakich doświadczyła na przestrzeni wieków - od aktów nienawiści kalifa Al-Hakima w 1009 r. po niszczycielski pożar w 1808 r. - pozostała jednym z dwóch centralnych punktów bazyliki. XIX-wieczne restauracje przeprowadzone przez Greków prawosławnych nadały lewej stronie Kalwarii (należącej do nich, choć częściowo użytkowanej także przez łacinników) obecny wygląd.

Prawa strona Kalwarii (należąca do łacinników, podobnie jak związana z nią „Kaplica Franków”, która w średniowieczu stanowiła zewnętrzne wejście) również była poddana pracom renowacyjnym kierowanym przez architekta Antonio Barluzziego od 1934 r. Zachowano i odrestaurowano pozostałości z epoki krzyżowców (XII w.). Przygotowano cykl przedstawień związanych z obnażeniem Jezusa i Jego ukrzyżowaniem, a także ozdobiono mozaikami sklepienie i ściany.

Wartość Golgoty nie tkwi w jej estetyce, lecz w jej świadectwie. Przypomina ona, że zbawienie nie jest abstrakcyjną ideą, lecz wydarzeniem, które dokonało się w konkretnym czasie i miejscu. Pielgrzym, przybywając tutaj, powinien móc doświadczyć tego, co apostoł Paweł, i powiedzieć wraz z nim: „Syn Boży umiłowiał mnie i wydał samego siebie za mnie” (Ga 2,20), pozwalając się poruszyć wezwaniu starego łacińskiego napisu z XII wieku: „Wywyższajcie Tego, który został ukrzyżowany w ciebie, oddawajcie chwałę Temu, który został pogrzebany za nas” (T. Tobler, Theoderici Libellus de locis sanctis, ok. 1172, St. Gallen 1865, s. 19).

o. Francesco Patton - franciszkanin, były Kustosz Ziemi Świętej. Jest autorem rozważań stacji Drogi Krzyżowej z Leonem XIV w Kołoseum w Wielki Piątek 2026 r.

Święty Mateusz, opowiadając epizod o żądaniu znaku z nieba skierowanym do Jezusa, rozpoczynając go słowami: „Przystąpili do Niego faryzeusze i saduceusze, i wystawiając Go na próbę, prosili o ukazanie znaku z nieba” (Mt 16,1).

Pobożni i ci mniej

Żydowski historyk Józef Flawiusz w swej „Wojnie żydowskiej” zapisał: „Są bowiem u Żydów trzy rodzaje uprawianej filozofii: zwolennicy jednej zwą się faryzeuszami, drugiej – saduceuszami, a trzeciej – eseneńczykami. Ci ostatni cieszą się opinią wielce świątobliwych”. W powszechnej do dziś opinii faryzeusze i saduceusze byli zawsze sprzymierzeńcami w swej wrogości do Jezusa. Tymczasem obydwie stronnictwa jeszcze większą niechęć żywiły do siebie nawzajem.

Eseneńczycy z Qumran nad Morzem Martwym byli w tej kwestii bardziej zdystansowani. Dowodzi to, że judaizm, jako religia pozbawiona dogmatów w chrześcijańskim rozumieniu tego słowa, sprzyjał powstawaniu różnych ugrupowań o charakterze religijnym, które odznaczały się nie tylko różnym stopniem politycznego zaangażowania, ale tolerancją na teologiczne nowości.

Faryzeusze, saduceusze i eseneńczycy nie byli jedyni. Dodajmy do nich sięgających po terror zelotów, sykaryjczyków, czyli ich jeszcze bardziej radykalny odłam, i herodian, którzy uważali Heroda Wielkiego za swojego mesjasza. Swoją rolę w religijny mikś mieli także mieszkający w Egipcie tzw. terapeuci, którzy prowadzili życie zbliżone do monastycznego. Byli tak pobożni, że Euzebiusz z Cezarei w swojej „Historii kościelnej” uznał ich za pierwszych mnichów chrześcijańskich.

Większość pobożnych Żydów nie była jednak formalnie ani faryzeuszami, ani saduceuszami, ani nie należała do innych ugrupowań. Ulegali silniejszemu lub słabszemu wpływom, argumentacjom i poglądom głoszonym przez członków poszczególnych ugrupowań.

Najważniejsze Prawo

Największe, jak się powszechnie przypuszcza, wpływy na kształt instytucji religijnych i na myśl teologiczną judaizmu w czasach Jezusa mieli faryzeusze. Flawiusz wspomina o ich istnieniu już za czasów Jonatana (161-143 r. przed Chrystusem). Kiedy na arenie politycznej Palestyny pojawili się Rzymianie, ich rola znacznie zmalała, nie zeszli jednak całkowicie ze sceny politycznej.

Nazwa ugrupowania pochodzi od hebrajskiego słowa „oddzielony”, „odseparowany”. Jej rodowód nie jest znany, najczęściej jednak uważa się, że przylgnęła ona do tych, którzy od-



Jean Tissot „Jezus wystawiony na próbę przez faryzeuszy i eseneńczyków”. Ten obraz powstał we Francji w latach 1886-1894. Obecnie można go oglądać w Brooklyn Museum w Stanach Zjednoczonych

Faryzeusze, saduceusze, eseneńczycy. Religijna panorama Palestyny za czasów Chrystusa

To głównie te trzy stronnictwa dominowały w ówczesnej Ziemi Świętej. Wszystkie były uwikłane politycznie, ale dwa pierwsze uznały naukę Chrystusa za wrogą i niebezpieczną

Mariusz Grabowski

dzielali się od innych niezwykle silnym przywiązaniem do Prawa Starego Testamentu. Faryzeusze zwracali największą uwagę na zachowanie przepisów Prawa w każdym szczególe. Sądziło, że Bóg dał Mojżeszowi nie tylko Torę, ale także tradycję ustną przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Od strony eschatologicznej faryzeusze pełni byli nadziei na indywidualne przetrwanie: człowiek po śmierci zmartwychwstaje w swym własnym ciele i wciąż – zgodnie z Platonem – posiada duszę nieśmiertelną, która zasługuje na szczęście w niebie lub potępienie w piekle, w zależności od doczesnych poczynań. Wierzyli więc w sąd ostateczny i wieczną nagrodę lub potępienie po śmierci. Uznawali także istnienie substancji duchowych – aniołów, czemu z kolei zdecydowanie sprzeciwiali się saduceusze.

Faryzeusze przyglądali się Jezusowi, jego uczniom i jego nauce bardzo uważnie. Dlatego też w Ewangeliach jest przez nich nieustannie obserwowany, atakowany za działalność, za różne wypowiedzi, za kontakty choćby z grzesznikami, celnikami, Samarytanami i poganami. Jezus wciąż odpowiada na ich zarzuty, pułapki, groźby, czy nawet na zamachy na swoje życie.

Niekiedy sam atakuje i prowokuje, a nawet grozi w najsilniejszych słowach: „Strzeście się

uczonych w Piśmie. Zupodobaniem chodzą oni w powłóczystrych szatach, lubią pozdrowienia na rynku, pierwsze krzesła w synagogach i zaszczytne miejsca na ucztach. Objadają domy wdów i dla pozoru odprawiają długie modlitwy. Ci tam surowszy dostaną wyrok” (Mk 12,38-40). W innym miejscu: „Wężę, plemię żmijowe, jak wy możecie ująć potępienia w piekło?” (Mt 29-32).

Już po zburzeniu świątyni ruch faryzeuszy przejął niemal pełną kontrolę nad Żydami w Judei i żydowską diasporą. Większość faryzejskich „uczonych w piśmie” wywędrowała razem z żydowskimi wygnańcami do Babilonii i Egiptu, a część pozostała w Palestynie. Dzięki właśnie faryzeuszom prawo ustne zostało przekazane, rozszerzone, na nowo sformułowane i w końcu skodyfikowane w Misznie (ok. 200 roku po Chrystusie), a potem w uzupełnionym Talmudzie. Tak narodził się rabbinizm.

Nieuprzejmi, arogancy

Mniej wpływowi od faryzeuszy byli saduceusze, w gronie których znajdowało się wielu przedstawicieli ówczesnych możnych elit, zwykle sprzyjających Rzymowi. Niektórzy wywodzą saduceuszy od Sadoka, kapłana o znacznych wpływach politycznych za czasów Dawida, inni zaś wolą odwołać się do he-

kon, w ogóle nie uznają losu, a Bóg według nich jest poza możliwością czynienia jakiegokolwiek zła lub nawet oglądania go. Utrzymują, że ludzie mogą czynić wybór pomiędzy dobrem a złem i tylko od woli każdego z nich zależy, czy pójdzie jedną, czy drugą drogą. Odrzucają jednak nieśmiertelność dusz, odbieranie kary lub nagrody w Hadesie”.

Co ważne: saduceusze odrzucali wiarę w nieśmiertelność dusz, negując tym samym zmartwychwstanie i sąd ostateczny. Podobnie było z koncepcjami mistycznymi oraz mesjanizmu. Nie przyjmowali też innych pism Biblii Hebrajskiej poza Pięcioksięgiem ani tradycji ustnej. W Dziejach Apostolskich czytamy: „Saduceusze bowiem mówią, że nie ma zmartwychwstania, ani anioła, ani ducha, a faryzeusze uznają jedno i drugie”.

Można by to nazwać – używając dzisiejszych pojęć – judaizmem reformowanym. W Nowym Testamencie przedstawiciele saduceuszy to głównie wyżsi kapłani i arcykapłani w świątyni jerozolimskiej. Zajmowali większość z 70 miejsc w radzie rządzącej zwaną Sanhedrynem, co nie znaczy, że przez większość czasu nie musieli zgadzać się z pomysłami mniejszości faryzejskiej, ponieważ ci byli bardziej popularni wśród mas.

Ponieważ saduceusze nie zostawili po sobie żadnego pisemnego świadectwa, wszystko, co wiemy o tym, w co wierzyli i co robili, znajduje się w Biblii i źródłach z drugiej ręki. Według większości zapisów historycznych saduceusze byli nieuprzejmi, arogancy, żądni władzy i szybko spierali się z tymi, którzy się z nimi nie zgadzali. Zniknęli po przegranej antyryzymskim powstaniu (66-70 r. po Chrystusie), zburzeniu świątyni przez Tytusa i rozproszeniu Żydów.

Benedykt zadziwia

Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, nauczanie Jezusa zdecydowanie bliższe jest poglądom faryzejskim niż saducejskim. Stąd też między Jezusem a faryzeuszami nie zawsze panowały

wrogie relacje – to właśnie faryzeusza o imieniu Nikodem podczas nocnej rozmowy Jezus przekonywał o miłości Boga: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3,16).

Jeszcze do niedawna teologowie i historycy nie traktowali też poważnie teorii, że Jezus miał bliskie relacje z eseneńczykami. Ci bowiem raczej unikali kontaktów ze świątynią i żyli w wyodrębnionych zamkniętych społecznościach, które cechowała na poły komunistyczna wspólnota dóbr materialnych, czystość rytualna (w tym celibat) i ścisłe podporządkowanie się wewnętrznej hierarchii władzy.

Lecz w kwietniu 2007 roku wiernych zelektryzowała sowa Benedykta XVI, który w homilii wygłoszonej w Wielki Czwartek zauważył, że „jest wielce prawdopodobne, że Jezus celebrował Paschę według kalendarza i zgodnie ze zwyczajami eseneńczyków”.

Papież nawiązał tym samym do istniejącej w Ewangeliach tzw. pozornej przeciwności, odnoszącej się do dnia śmierci Jezusa. Szukając jej wyjaśnienia w wielkoczwartkowym kazaniu, papież stwierdził, że Jezus spożywał Ostatnią Wieczerzę według zwyczajów wspólnoty z Qumran.

Powstają w związku z tym pytania: dlaczego tak postąpił? Jaka była prawdziwa relacja Jezusa z eseneńczykami? Dlaczego nie wspomina się o nich w Nowym Testamencie? A także: jaki był związek Jezusa z Janem Chrzycielem, który głosił swoją proroczą naukę w pobliżu Qumran?

Pytania te wciąż czekają na swoje odpowiedzi i być może nigdy ich nie dostaniemy. Eseneńczycy zniknęli bowiem ze sceny dziejów za czasów powstania antyryzymskiego i krwawej pacyfikacji Judei przez Tytusa. Po tych wydarzeniach nie znaleziono już żadnych śladów dotyczących tego ugrupowania.

REKLAMA

0111461412

**CZAS NA WIOSENNE
ODŚWIEŻENIE GARDEROBY
ODKRYJ NOWE TRENDY**

**W CENTRUM MODY
NADARZYN**

Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



Al. Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

Śledzi Pan na bieżąco informację?

Tak, śledzę. Jestem uzależniony od wiadomości.

Co bardziej przykuwa Pana uwagę: polityka krajowa czy sprawy międzynarodowe?

Bardziej interesują mnie sprawy międzynarodowe niż krajowe. To fascynujący, choć często niepokojący czas dla obserwatora światowej sceny politycznej.

Choć jest Pan historykiem, to regularnie komentuje - np. w mediach społecznościowych - aktualną sytuację na Ukrainie czy na Bliskim Wschodzie. Jak Pan na nie patrzy? Jak na kolejne odcinki w niekończącej się historyczno-politycznej telenoweli?

Myszę, że sprawy światowe są tym, czym zawsze były: połączeniem spraw lokalnych i globalnych. Choć dziś jeszcze bardziej niż kiedyś. Współcześnie wszystko jest połączone między sobą poprzez rynki, media społecznościowe i technologię. Nazywam to Ultra-Światem.

Ultra-Światem? Co Pan tak nazywa?

Wypadkową gęstej sieci dzisiejszych powiązań i tempa, w jakim to się zmienia. Obecnie wszystko jest ze sobą powiązane, ma charakter międzyplanetarny i porusza się z prędkością 9 GHz.

Mój światłowod działa o połowę wolniej.

Właśnie. A to nie koniec. Przecież te współczesne zmiany następują coraz szybciej i szybciej. Ale ta szybkość to zaledwie jeden wymiar. Bo jednocześnie wiele z tego, o czym mówimy, nadal ma charakter lokalny.

Opiszmy te zmiany na przykładzie. Stany Zjednoczone i Izrael chcą zneutralizować Iran. Konflikt lokalny czy jednak - ze względu na jego znaczenia dla świata - raczej konsekwencja współczesnej globalnej układanki geopolitycznej?

Tak, ten konflikt świetnie pokazuje, jak wszystko jest dziś ze sobą powiązane. Ta wojna - lub jakaś inna forma konfrontacji - była nieunikniona już od dawna, zwłaszcza od rękąd reżim irański zaczął przechodzić od retorycznych gróźb wobec Izraela do rzeczywistego zbrojenia się jako potęga balistyczna i nuklearna, zdolna do faktycznego zaatakowania Izraela.

Te groźby mają najczęściej charakter religijny. Nic zaskakującego w tym regionie. Tego typu konflikty obserwujemy na przykład podczas wypraw krzyżowych. Stały

– Coraz bardziej eskaluje konflikt między Światem Otwartym a Światem Zamkniętym. Widzimy to w Iranie i na Ukrainie – mówi wybitny historyk brytyjski Simon Sebag Montefiore



Montefiore: Demokracje muszą odzyskać swoją siłę, pewność siebie oraz dumę z liberalnego, wolnego życia. Tylko wtedy będą mogły stawić czoła tyranom

MONTEFIORE: ULTRA-ŚWIAT. WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA W ZAWROTNYM TEMPIE

element od chwili powstania państwa Izrael.

Nie sądzę, by dzisiejsze wydarzenia można było łączyć z krucjatami czy z utworzeniem republiki żydowskiej. Mówimy o państwach, które powstały po I oraz II wojnie światowej. Wcześniej wchodziły one w skład imperium osmańskiego. Do tego trzeba dodać jeszcze jeden szczegół, zdecydowana większość z państw na Bliskim Wschodzie została zaprojektowana przez mocarstwa zachodnie.

Choćby jako konsekwencja umowy Sykes-Picot z 1916 r.

Inaczej to wyglądało w przypadku Turcji i Izraela. Te dwa państwa powstały w wyniku połączonych wojen etnicznych i buntów przeciwko mocarstwom imperialnym. Natomiast nowe państwa powstały w wyniku rozpadu imperium osmańskiego przechodzą teraz nową falę rywalizacji.

Akurat Iran - ani wcześniej Persja - nie był jego częścią.

Oczywiście, to państwo ma bardzo rozwiniętą kulturę i bardzo długą historię. Ale też sporo wzlotów i upadków. Współczesny Iran wciąż nie umie dojść do siebie po swoim upadku w XIX wieku i okupacji podczas dwóch wojen światowych, obecne napięcia to reminiscencje tamtych zdarzeń. Ale to wymiar lokalny. Natomiast trzeba też spojrzeć na to z perspektywy globalnej. Mamy obecnie do czynienia z intensywną rywalizacją między nowymi państwami kontynentalnymi, które uwolniły się spod kontroli USA, ZSRR lub Chin; jest to tworzenie nowego paradygmatu.

W jakim stopniu sytuacja międzynarodowa przypomina system połączonych naczyń? Czy Pana Twoim zdaniem doszłoby do wojny w Iranie, gdyby Rosjanie nie

zaatakowali Ukrainy cztery lata temu?

To historia Izraela i Iranu. Iran również promował nową wersję regionalnego imperium poprzez swoich sojuszników takich jak Hamas i Hezbollah. Trudno jednak przewidzieć, jak ten konflikt się teraz zakończy. Można powiedzieć tylko kilka rzeczy: bardzo niewiele państw zostało pokonanych przez siły powietrzne, bez zaangażowania armii lądowych. Niewiele państw wspieranych przez siły bezpieczeństwa gotowe do zabijania zostaje obalonych przez demonstracje ludowe. Zwycięstwo militarne różni się od zwycięstwa politycznego: armie konwencjonalne muszą triumfować, aby wygrać; niekonwencjonalny ruch oporu musi jedynie przetrwać, aby wygrać. Natomiast źródło tej wojny jest zupełnie inne niż konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Wojna Rosji

Polska
Piątek–poniedziałek, 3–6.04.2026

z Ukrainą wybuchła z powodu skrajnej słabości Zachodu pod wieloma względami, która sprawiła, że Putin uwierzył, iż ma ostatnią szansę na przywrócenie imperialnych rządów na Ukrainie.

Można odnieść wrażenie, że sytuacja na świecie zaostrza się z każdym miesiącem. Coraz więcej regionów na całym świecie staje się ogniskami napięć. Czy jako historyk dostrzega Pan w tym jakieś wzorce znane z przeszłości?

Nie podzielam opinii tych, którzy twierdzą, że mamy rok 1913 lub że to lata trzydzieste XX wieku - choć istnieje wiele podobieństw do obu tych okresów. Bardziej dostrzegam podobieństwa z latami 60. i 90. XIX wieku. Wtedy istniało wiele rywalizujących ze sobą małych i średnich mocarstw, a także bardzo dużych, uwikłanych w niekończące się, nieustannie zmieniające się cykle przemocy... Ważne jest, aby zrozumieć, że konflikty mają różne poziomy.

Który poziom obecnie jest najważniejszy?

Eskalujący konflikt między Światem Otwartym a Światem Zamkniętym. Świat Otwarty liberalnych demokracji triumfował po wojnach światowych dzięki zwycięstwu militarnemu w 1945 roku. Jednak owoce tego zwycięstwa ostatecznie doprowadziły do upadku zachodnich demokracji i kontraktacji Świata Kontroli oraz niezależnych państw, które były dawnymi koloniami. To właśnie ta walka ma miejsce obecnie. Więc wojna z Iranem i wojna z Rosją są ze sobą powiązane, gdyż Moskwa i Teheran były ze sobą ściśle sprzymierzone. Wymieniają się pociskami i dronami. Z kolei Ukraina pomaga państwu arabskim itp. w zakresie technologii dronów. Największym strachem jest to, że wojna na Ukrainie i wojna z Iranem w jakiś przerażający sposób się połączą...

Rozmawiamy przy okazji wznowienia Pana książki „Katarzyna Wielka i Potiomkin”. Podkreśla Pan w niej znaczenie Krymu i terytoriów ukraińskich dla XVIII-wiecznej Rosji. Czy coś się zmieniło w tej kwestii?

Nie. Dla wielu rosyjskich władców - Aleksieja Michajłowicza, Piotra Wielkiego, Katarzyny i Potiomkina, Aleksandra I i II, Lenina, Stalina i Putina - Ukraina była niezbędna dla rosyjskiej państwowości, ponieważ rosyjska wizja samego siebie jest wciąż w zasadzie wizją imperium.

Grigorij Potiomkin, kochanek carycy Katarzyny i jej bliski doradca, znany jest dziś przede wszystkim z „wiasek

potomkinowskich”. Tylko czy one naprawdę istniały?

Nie, za czasów Potiomkina one nigdy nie powstały. Ale stały się rzeczywistością w systemach totalitarnych XX wieku.

W swojej książce podkreśla Pan romantyczne i seksualne aspekty relacji między Katarzyną a Potiomkinem - a jednocześnie bardzo wysoko ocenia Pan zdolności przywódcze obojga. W jakim stopniu namiętność i racjonalność przeplatają się na najwyższych szczeblach władzy? Jak często decyzje państwowe wynikają z irracjonalnych emocji?

Istnieje bardzo pruderyjne i ograniczone spojrzenie na historię, zgodnie z którym liberytynki są w jakiś sposób skłonne do bycia złymi władczyniami. Istnieje również bardzo szowinistyczne i ponownie idiotyczne przekonanie, że kobiety u władzy nie mogą być namiętne, bez narażania się na oskarżenia ze strony męskich przeciwników o bycie „dziwkami”. Widać to w wielu przypadkach w historii, ale znowu jest to nonsens. Niektóre kobiety były świetnymi władczyniami, inne bardzo złymi. Tak jak mężczyźni. Katarzyna była raczej monogamiczna. Wiemy tylko o 12 kochankach w jej długim życiu - trudno uznać to za związek według standardów XVIII wieku czy ery Tindera. Potiomkin był XVIII-wiecznym liberytynem. Ich romans był namiętny i nieskrępowany, ale ich decyzje rzadko były impulsywne, większość opierała się na realistycznych kalkulacjach. Byli po prostu bardzo utalentowani.

Co musi się wydarzyć, abyśmy powrócili uporządkowanego świata jak po Kongresie Wiedeńskim? Do szczególnie trudnych czasów „końca historii”, o których świat marzył w latach 90.?

Jest jedno rozwiązanie. Demokracje muszą odzyskać swoją siłę, pewność siebie, siły zbrojne oraz dumę z liberalnego, wolnego życia.

KSIAŻKA



Simon Sebag Montefiore
„Katarzyna Wielka i Potiomkin”,
wyd. Znak, Kraków 2026,
cena 139,99 zł



Wesołego Alleluja!

Z okazji Świąt Wielkanocnych wszystkiego
co najlepsze, rodzinnej atmosfery,
szczęścia osobistego, pogody ducha, spokoju,
harmonii i radości
oraz naszych polskich mlecznych smakowitości
na suto zastawionych stołach

życzy

Dariusz Szpiński

Prezes Zarządu Grupy MLEKOVITA



CZAS POJEDNAĆ SIĘ Z BOGIEM

To czas konfesjonałów – w Kościele katolickim wierni, którzy chcą zadośćuczynić przykazaniom kościelnym, robią rachunek sumienia przed Wielkanocą i idą do spowiedzi

Grzegorz Okoński

Chcemy być lepsi, mieć czyste sumienia, pomyśleć, że skoro przynajmniej raz w roku trzeba przystąpić do sakramentu komunii – to właśnie teraz. Okres poprzedzający Wielkanoc jest czasem, gdy spoglądamy w stronę konfesjonału – i czasem z pewnym zakłopotaniem – ale robimy rachunek sumienia.

Tylko raz, czy dopiero pierwszy raz?

Z Wielkanocą kojarzą się pisanek, zajacek, a także drugie i trzecie przykazanie kościelne, o którym katolicy pamiętają teraz jak nigdy wcześniej w ciągu roku. Przynajmniej raz w roku przystąpić do sakramentu pokuty, i – przynajmniej raz w roku, w okresie wielkanocnym, przyjąć komunię świętą. Trwa zatem czas konfesjonałów, a z publikowanych statystyk i sond wynika, że 75 proc. katolików w Polsce przykłada na ich stopniu raz w roku i to właśnie teraz.

– Zdarza się faktycznie, że raz w roku, w czasie Wielkanocy wierni przychodzą do spowiedzi, by zadośćuczynić nauce Kościoła, ale nie przesądzałbym, że tylko raz: z praktyki wynikałoby raczej, że ludzie traktują wielkanocną spowiedź w kategorii – „minimum raz w roku” i nie ograniczają się tylko do jednego terminu; nawet jeśli teraz przystępują do spowiedzi po raz pierwszy w roku, to bardziej „dopiero pierwszy raz”, bo spotkamy się w kolejnych miesiącach tego roku, w zależności od indywidualnej potrzeby ich sumienia – mówi ks. dr Michał Łobaza SAC, proboszcz pallotyńskiej parafii św. Wawrzyńca w Poznaniu. Pallotyni, czyli Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego, katolicka wspólnota księży i braci, promuje współpracę z ludźmi świeckimi, a kolejki do konfesjonałów nie są w tu niczym nadzwyczajnym, związanym tylko ze świętem.

Jest przykazanie, ale nie chodzi o przymus

Kościół ma przykazania kościelne, ale wierni niekoniecznie pamiętają je słowo w słowo: przyjęło się po prostu, że jak Wielkanoc – to spowiedź i komunie św.



Szczególnie przed Wielkanocą, przed konfesjonałami ustawiają się kolejki

– Spowiedzi nie powinno się traktować jako przepisowego przymusu: człowiek podejmuje decyzję o niej w odpowiedzi na usłyszane Słowo Boże lub na zauważone świadectwo życia sakramentalnego, czy w ogóle – na jakieś zdarzenie, sytuację, która skłoniła go do zastanowienia się nad własnym życiem. Dochodzi do wniosku, że chce, a nie że musi, pojednać się z Bogiem, chce się poprawić, zmienić, chce z czystym sercem rozpocząć nowy okres.

Grzechy nie przekreślają szansy

Ale do kościołów przychodzą teraz także tacy ludzie, którzy tej iskry nie czuli od dwóch, trzech, piętnastu czy dwudziestu lat.

– Są tacy ludzie, i nie przychodzi im łatwo przyznanie tego: ale ważne jest to, że chcą uporządkować z różnych przyczyn zaniedbane życie religijne. Każdy patrzy na życie indywidualnie i nie można człowieka zasztaflakować: jest dobry, bo chodzi o spowiedź, czy jest zły, bo od lat nie zbliżył się do konfesjonału. Są sytuacje, które odsuwają ludzi od sakramentów, ale też wiemy, że nie przekreślają do końca życia ich szansy na pojednanie z Panem Bogiem, i że w jakiś sposób takie sytuacje się kończą, że osoby nimi dotąd związane mogą już – i chcą wrócić do sakramentów.

Kościół widzi wśród takich przyczyn prowadzenie życia

w związku niesakramentalnym, czyli w konkubinacie, albo w nowym związku po rozwodzie, połączonym ślubem cywilnym. Kościół zapewnia, że takie osoby powinny uczestniczyć aktywnie w życiu wspólnoty, a ta, i jej kapłani mają – jak napisał Jan Paweł II – okazać pomoc rozwiedzionym, podejmować z troskliwą miłością starania o to, by nie czuli się oni odłączeni od Kościoła.

– Czasem nawet po latach sytuacja się zmienia i taka osoba chce szczerze przystąpić do spowiedzi, robi rachunek sumienia, wyznaje grzechy, żałuje za nie, chce naprawić wyrządzone przez siebie szkody wobec innych ludzi. Każda sytuacja jest inna – i każdy człowiek ma szansę.

Kradzież na czele katalogu grzechów

Dominikanin, kaznodzieja, rekolekcyjista i niezwykły medialny duchowny, ojciec Adam Szustak, przyznał, że najczęściej w konfesjonałach wyznawane są grzechy ważne dla sumienia osób spowiadających się, ale z ogólnego punktu widzenia – nie będące takimi, które mogłyby wstrząsnąć światem. W trzech „najpopularniejszych” kategoriach grzechów zamyka się kradzież (do której zaliczamy nie tylko fizyczne zabranie czegoś komuś innemu, ale np. korzystanie z cudzej własności intelektualnej w Internecie, czy zabranie z miejsca pracy przedmiotów należących do pracodawcy),

kłamstwo (w tym także celowe ukrywanie prawdy) i pycha (tu wierni przyznają się np. do przekonania o tym, że są lepsi od innych).

– Grzechy są różne i nie przesądzałbym, czy są któreś częściej spotykane, czy ważniejsze od innych – mówi ks. Michał Łobaza. – Żyjemy w różnych społecznościach, rodzinach, środowiskach zawodowych i w tych wszystkich przestrzeniach pojawiają się ułomności, grzechy. Są drobne i są ciężkie, grunt to rozpoznać je i chcieć się z nich oczyścić. Po pandemii zauważyliśmy, że wierni uważniej do nich podchodzą, że pragnienie spotkania prawdziwego żywego Boga przekłada się u nich na proces przygotowania do spowiedzi. Jest więc rachunek sumienia, a nie zwyczajowa, powtarzana zawsze lista, jest nazwanie grzechów po imieniu, są wnioski. Wierni po prostu poważnie traktują Eucharystię, więc spowiedzi nie chcą tylko odbyć formalnie. Czy boją się spowiedzi? Tak, to intymne doświadczenie wiąże się ze strachem, ale nie jest on mocniejszy od Bożego miłosierdzia łaski. Strach jest ludzki, lecz pamiętajmy, że w sakramencie jest Bóg, który daje łaskę oczyszczenia, a kapłan jest tylko narzędziem w Jego dziele...

Rozgrzeszenie? Nie zawsze!

Ksiądz przyznaje jednak, że są sytuacje, gdy spowiedź nie może dojść do skutku. Nie ma bowiem sensu, gdy spowied-

nik słyszy, że wierny wyzna grzechy, bo z jakiegoś powodu przyszedł do spowiedzi, ale i tak nie wierzy, że coś to zmieni i nie chce się poprawić. Że pogodził się ze swoimi grzechami i nadal będzie z nimi żył, a spowiedź jest dla niego tylko jakąś formalnością, która nic nie zmieni w jego sposobie życia.

– Są też grzechy, przy których ksiądz nie może przekazać wieści o odpuszczeniu: co nie znaczy, że taka osoba nie ma w przyszłości szans na sakrament. To grzechy zarezerwowane dla spowiedzi dokonanej przez Ojca Świętego, albo przez wskazanego przez niego biskupa miejsca, czy przez kapłana wyznaczonego przez biskupa miejsca.

Do tych grzechów należą takie, które wiążą się np. z profanacją Najświętszego Sakramentu.

Spowiedź dla kapłana też nie jest lekka

– Spowiedź jest szczerą rozmową, związaną z pokorą i postanowieniem poprawy, a nie dyskusją w konfesjonale. Nie polega na „zdołowaniu” penitenta, wywołaniu u niego poczucia winy – to nie prowadzi do duchowej ulgi i nie sprzyja podejmowaniu decyzji o spowiadaniu się w przyszłości. Dlatego spowiedź bywa trudna dla spowiadającego się, ale też dla księdza – zawsze przed spowiedzią modłę się za tych, którzy przyjdą do konfesjonału i proszę o łaskę, bym umiał wyspowiadać, bym mógł wesprzeć tę osobę.

Zapytany, czy idąc do konfesjonału, obawia się, że usłyszysz o grzechu, o jakim nie chciałby nigdy słyszeć, ksiądz Michał Łobaza mówi, że nie ma takich obaw – w czasie spowiedzi nie można zatajać swoich win i trzeba wyznać świadomie wszystkie grzechy, w tym także – a może i zwłaszcza – grzechy ciężkie.

– Chrystus służył człowiekowi i nie wybierał, z kim chce rozmawiać i przebywać: każdy był dla niego równie ważny, także ci, którzy mieli na sumieniu grzechy ciężkie. Jako ksiądz jestem tu i teraz, nie zadreżam się później tym co usłyszę. Bóg chce, bym rozpoznał grzechy i był Jego narzędziem w odnowie tej osoby. Obowiązuje mnie natomiast

tajemnica spowiedzi, z której nikt nie może mnie zwolnić – niczego, co usłyszę w czasie spowiedzi, nie mogę z niej wywieść na zewnątrz.

Nie tylko w konfesjonale

Wierni spowiedź utożsamiają z konfesjonalem – i choć to naturalne miejsce w przestrzeni sakralnej, nie musi być jednoznacznie atrybutem sakramentu pokuty.

– Zdarzają się sytuacje, że spowiadamy w drodze, w czasie pielgrzymki, w czasie jakiegos wyjazdu wspólnoty: wtedy nie uzależniamy spowiedzi od konfesjonału, lecz po prostu w cichej indywidualnej rozmowie spowiadamy. Spowiedź może odbyć się w innym miejscu, bo jej najważniejszym bohaterem nie jest ksiądz, który musi mieć konfesjonał, lecz penitent, który podjął decyzję wskutek jakiegoś doznania, refleksji, który odczuł, że chce pojednać się z Bogiem. Ponadto spotykamy się też z sytuacjami, że ktoś poprosi nas z ważnej przyczyny o spowiedź generalną, z całego życia, chce mieć do tego więcej czasu, chce dokonać poważnego i pełnego rozrachunku ze swoim życiem. Kiedy ma poważne wątpliwości i bardzo liczy na rozmowę, która wiele dla niego znaczy. I kiedy chce pozamykać pewne sprawy w swoim życiu, ma głębszą świadomość religijną, wynikającą z wieku, z doświadczeń życiowych – bo inaczej patrzy na swoje grzechy dziecko, a inaczej osoba dorosła. Czasem wtedy taka spowiedź odbywa się w warunkach, w których penitent czuje się bezpiecznie, i może ze spokojem wyznać grzechy.

Czy ksiądz się spowiada?

Księża – co nieraz interesuje wiernych – nie tylko spowiadają, ale też – się spowiadają. Muszą się regularnie spowiadać, dbać o swoje odnowienie, skoro mają takim darem się dzielić z drugim człowiekiem.

– Do tego dobrze mieć swojego stałego spowiednika, który dzięki doświadczeniu będzie mógł pomóc kapłanowi. Kapłan przecież też jest tylko człowiekiem, tak jak ci, którzy przychodzą do jego konfesjonału...

(J 1, 5):
Światłość w ciemności świeci

PULS
#210



Alicja Polewska

JESZCZE JEDEN RAZ.
OD NOWA. ODNOWA

Lucyna, napiszesz o sobie?” – nosiłam się z tym pytaniem kilka dni. Zadawałam je sobie, przewidywałam, jak mi odpowie, jak się poczuje z moją prośbą. W końcu zadzwoniłam: – Lucynko, napiszesz? Jak dałaś radę temu cholerstwu, ile cię to kosztowało, co straciłaś, a co zyskałaś? – mówiłam coraz szybciej. Lucyna przerwała mi w pół zdania: – Na kiedy potrzebujesz? Bo wiesz, nie dam rady tak od pierwszej dużej litery do ostatniej kropki. Chemia to nie są jednak drinki z palemką – zażartowała, a mnie spadł kamień z serca. Pisanie to pasja Lucyny. Robota to jej lekarstwo, ale przecież ten RAK...

Obserwowałam, jak się zmagala z chorobą. Oglądałam kolejne fotki z CO (oficjalna nazwa to Centrum Onkologii, ale ona mówiła: Centralne Ogrzewanie; oswajała to miejsce i siebie tam) – tłum ludzi czekających na chemię, stojak z jej kropłówką, włosy, które zostały na grzebieniu... No właśnie włosy. Są dla niej ważne. Ja tak mam z paznokciami – muszą być zadbane, no ładne po prostu. Ktoś inny – z ciałem i dlatego blizna po operacji to większy problem niż całe leczenie.

Czepiamy się szczegółów.
Całość lepimy z okruszków.
Drugi oddech, żeby przeć przed siebie i dla siebie.
Świąteczne wydanie postanowiliśmy poświęcić odrodzeniu, może nie aż tak jak Feniks z popiołów, ale bardzo blisko. Początkowo luźno potraktowaliśmy skojarzenie ze Zmartwychwstaniem – nowym życiem. Drugim życiem. Od nowa. Po przejściach. Odkryliśmy, ile mocy jest w tych historiach. Z pozoru tak różnych, a jednak tak bardzo podobnych.

Bo to się dzieje wokół nas.
Nie zawsze się udaje, bywa, że trzeba ulec, żeby zwyciężyć.
Czasami potrzebny jest drugi człowiek.
Dobre słowo.
Modlitwa.
Telefon: Wiesz, że jestem.
Słońce i pierwsze listki na drzewach. I skowronek.
Życie.
Od nowa.

Adam Bula

SŁOWNIK SŁÓW NIESŁUSZNIE
PORZUCONYCH: LOGOS

Gdzieś od biblijnego: „Niech twoje tak znaczy tak”, przez pawłakowe: „U mnie słowo droższe pieniędzy”, dotarliśmy do czasu, gdy SŁOWO stało się tylko kolejnym memem w radykalnie uproszczonej, obrazkowej rzeczywistości. Neony całe od zatrważającego kosmicznymi implikacjami janowego prologu jego Ewangelii: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo”.

Zostawmy jednak Logos pisany z dużej litery – nawet w Wielkim Tygodniu temat, jak Zasada tworząca i organizująca – według starych Greków – kosmos, zaparkowała na koniec w osobie Jezusa Chrystusa – umysłu Boga wpływającego na świat.

Odpuśćmy też etyków, dla których właściwą ścieżką dla człowieka jest odnalezienie, rozpoznanie i postępowanie zgodnie z logosem, co jest jedynym „rozumnym sposobem bycia duszy”. Przynajmniej jeśli zależy nam na poznaniu naszego rzeczywistego przeznaczenia.

OK, OK, już hamuję, nie chcę przeginać. Wyglądam więc u starego, dobrego Arystotelesa, bo logos to też zasada logiczna. Generalnie, choć wiem, jak to zabrzmie, dzięki zgodzie z logosem wypowiedzi mogły się charakteryzować wewnętrzną spójnością i sensownością. Niestety, Arystoteles wykład o logosie daje w swej „Retoryce”, przez co ostatecznie odarł go z sacrum, dowodząc, że z pomocą logosu, jako metody, nasz wykład – w retorycznym właśnie sensie – może dowodzić zarówno prawdy, jak i nieprawdy. I tak się to zaczęło.

No i trwało w zasadzie do końca epoki druku, której świadkami właśnie jesteśmy. Idzie mi o to, że zataczamy, paradoksalnie, wielkie koło, w zakresie spójności i sensowności wypowiedzi, wracając do kamień łupiących przodków. Och, puśćcie sobie dowolny program publicystyczny, a potem w miejsce zagłuszającego nawzajem słowotoku nastroszonych „dyskutantów” dajcie podkład onomatopeiczny: takie hau, hau, hrrr, hrrr, grrr, grrr. Naśladowane zwierzątko do wyboru, choć produkcje małą człękkształtnych powinny tu być produktem pierwszego wyboru.

Chaotyczne dość refleksje powyższe (wybacz, Stagiryto) wzięły się z Wielkiej Środy, bo dzień ten dla mnie, przez jego większą część, było dość chaotycznym właśnie. W pośpiechu bowiem usiłowałem robić kilka rzeczy naraz. Dlatego też długą konferencję ważnego ministra (jego imię jest kompletnie nieistotne) w imieniu ważnego przedstawiciela Narodu (którego imię stanie się nieistotne równie niechybnie) monitorowałem głównie w trybie wyciszonego dźwięku. Stąd zresztą pomysł z tymi onomatopejami, choć przez litość nie ujawnię, odgłosy jakiego zwierzątka przyszły mi na myśl...

W każdym razie ważny ten urzędnik, przedstawiając decyzję swego pryncypała, bardzo zawile wypowiadał się o rzeczy w sumie kosmicznie prostej: w temacie ślubowania nowych sędziów TK nie mamy waszego płaszcza i co nam zrobicie?

Pośpiech mój wynikał natomiast z faktu, że – staraniem córek – wieczór spędziłem w Teatrze Narodowym na bajecznie przedstawionym balecie „Bajadera”. Widać, lata dowożenia latorośli na zajęcia dodatkowe w warszawskiej szkole baletowej przyniosły i takie owoce (oczywiście, że się nimi chwale).

O sztuce, przedstawiającej losy tancerki z mitycznego dworu indyjskiego radży, powiem wam tylko tyle, że to w sumie trzy godziny bez jednego wypowiedzianego słowa. Co narodziło w mej głowie kłamrę stylistyczną, że może to być metoda zgodna z logosem: za każdym razem, gdy na ekranie wyskoczy wam kolejny „ważny” polityk ze swoim tyle zawiłym, co kłamiwym zwykłym wywodem, przełączcie się na coś pięknego. Coś, co tam każdemu najbardziej w duszy gra.

Niezależnie bowiem od rasy i wyznania, czy raczej coraz powszechniejszego jego braku, na naszej szerokości geograficznej mamy teraz cud odrodzenia. Dla chrześcijan Zmartwychwstania Pańskiego. Czas stworzony do pomyślenia o czymś większym niż aktualne ceny benzyny i kto jest im winien. Teatr Narodowy to może już opcja na wypasie, ale kościołów, gdzie odprawiany jest właśnie przepiękny ryt Triduum Paschalnego, mamy wszyscy dość pod ręką.

Wyrwijcie się, może na przykład tam, z codziennego zabiegania. Ciekawi choćby, jakimi refleksami wam to zaowocuje.

Nie ma misji bez pojednania z naszą przeszłością, z darami i ograniczeniami wynikającymi z naszego wychowania. Jednocześnie jednak nie ma pokoju bez wyruszenia w drogę, nie ma świadomości bez dystansu, nie ma radości bez ryzyka. Ani w dziedzinie duszpasterskiej, ani społecznej i politycznej dobro nie może wynikać z nadużywania władzy

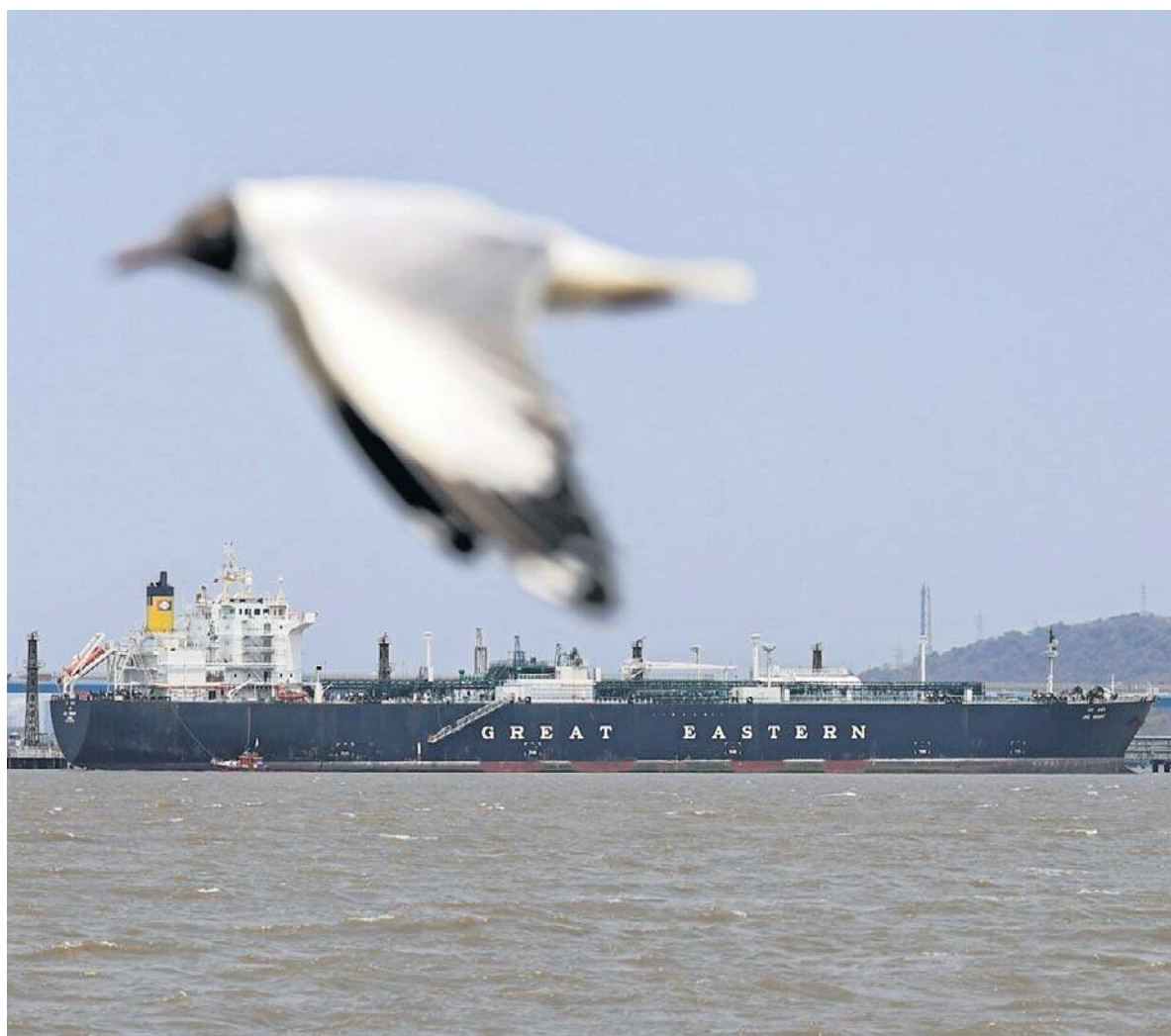
FOTOkomentarz tygodnia



2 KWIETNIA, ŚWIAT

Trwają obchody Triduum Paschalnego – celebracji męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Szczególnie barwną oprawą mają one w Hiszpanii i krajach latynoskich, gdzie często przybierają formę efektownych procesji z wykorzystaniem tradycyjnych dekoracji i strojów regionalnych. Ale od Wielkiego Piątku do Wielkanocy uwagę będzie przykuwać Watykan. Papież Leon XIV w piątek po raz pierwszy poprowadzi drogę krzyżową i będzie osobiście niósł w jej trakcie krzyż, a w niedzielę udzieli wiernym tradycyjnego błogosławieństwa „Urbi et Orbi”

FOT. PAP/EPA/MARIAM A. MONTESINOS



FOT. PAP/EPA/DIVYAKANT SOLANKI

1 KWIETNIA, IRAN Indyjski tankowiec z ropą przepływa przez Cieśninę Ormuz. Przed wojną w Iranie takim akwenem przepływało 20 procent światowego eksportu ropy. Z powodu konfliktu te wolumeny wyraźnie się zmniejszyły. Dostrzegamy to wszyscy, patrząc, co się dzieje z cenami paliw na stacjach



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

29 MARCA, WARSZAWA Zmarł Wiesław Myśliwski – jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich. Jego powieści, jak „Widnokrąg” czy „Pałac”, za jego życia stały się klasyką literatury



FOT. PAP/EPA/SEBASTIEN NOGIER

1 KWIETNIA, FRANCJA Mistrz Marc Saint-Saens ozdabia czekoladowe jajo. Nad Sekwaną Wielkanoc ma właśnie taki smak. W tym okresie Francuzi zjadają aż 14 ton czekolady – 10 procent rocznej konsumpcji

Kardynał Grzegorz Ryś, metropolita krakowski: Drodzy Państwo, bardzo wam życzę wielkanocnej nadziei. Ta wielkanocna nadzieja mówi, że ostatnie słowo należy do dobra, miłości, pokoju.

Anna Piątkowska

POKÓJ PRZYCHODZI PRZEZ LUDZI, KTÓRZY IDĄ ZA JEZUSEM



Katedra na Wawelu. Ingres Kardynała Grzegorza Rysia

Minęły trzy miesiące, odkąd ks. kardynał zamieszkał w pałacu przy Franciszkańskiej, zadomowił się tu już ks. kardynał?

Bardzo nie lubię słowa „pałac”. Powoli próbujemy stworzyć dom, ale to nie są ściany czy sufit, tylko zawsze ludzka wspólnota. Jest grono ludzi, z którymi tu żyję, razem się modlimy, jemy posiłki, rozmawiamy, pracujemy. Siostry, które tu mieszkają, pamiętam jeszcze sprzed lat, kiedy tu zaglądałem w jakimś celu, bo nigdy wcześniej tu nie mieszkałem. Mój sekretarz jest moim wychowankiem z czasów seminarium, kiedy byłem rektorem. Moi najbliżsi współpracownicy to ludzie, których nie od dziś znam.

Jakoś zmienia ks. kardynał to miejsce tak, żeby się poczuć to dobrze? Ramki ze zdję-

ciami na biurku, zmiany w wystroju?

Mam tu swoje prywatne mieszkanie, które jest urządzone po mojemu. Ale jest wiele ważniejszych rzeczy niż to, żebym się tu poczuł dobrze.

Franciszkańska 3 to w Krakowie bardzo ważny symbol. Znaczące było też zamurwane okno. Czy ono się jeszcze kiedyś otworzy?

Rozmawiałem z Ojcem Świętym i powiedziałem mu, że jak przyjedzie, to będzie w oknie. Jednak, dopóki się to nie stanie, nie ma sensu go otwierać, bo po co i dla kogo, jeśli to okno jest papieskie? Jeśli papież będzie w Krakowie, otworzymy okno.

Czy wracał ks. kardynał do swojego miasta, do tych miejsc dobrze sobie znanych,

lubianych, czy jednak trzeba się znowu dostosować?

Chyba za wcześniej odpowiadać na to pytanie. W Krakowie czas wolniej płynie, więc oczywiście są rzeczy niezmiennie, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Niezmiennie jest całe dziedzictwo krakowskiego Kościoła skondensowane w Katedrze wawelskiej, w Kościele Mariackim i Kościele św. Anny oraz innych świątyniach miasta Krakowa, ale też w różnych kościołach i kaplicach Podhala i Beskidów. Staram się w tych wszystkich miejscach być, wracać do nich i tam jakichś wielkich zmian nie widać, bo i skąd miałyby się brać?

Wspominając kardynała Macharskiego krakowianie często mówią o tym, że mogli go spotkać na Plantach, na Rynku, tak po prostu po-

rozmawiać. Kolejni metropolicie już tak otwarci i dostępni nie byli. Wiem, że czasy też się zmieniły, ale czy ks. kardynał częściej zobaczymy, a właściwie nie zobaczymy – w limuzynie czy może na Plantach, w tramwaju?

Chodzę po mieście w czarnej sutannie jak kardynał Franciszek, nietrudno mnie spotkać na Plantach czy na Rynku. Na przykład, niedawno szedłem z kurii do radia. To bardzo ładna trasa, można różnieniec po drodze zmówić. To oczywiście, że trzeba łapać wszystkie momenty, kiedy można w ten sposób trochę odpocząć i zadbować o formę fizyczną. Ale równocześnie samochód, nie limuzyna, jest niezbędny po to, żeby jechać na Spisz czy Podhale albo w napiętym grafiku codziennych spotkań bardzo szybko połączyć wydarzenia dziejące się w Krakowie.

Krakowianie przyjęli decyzję o powrocie ks. kardynała do Krakowa z radością – na pewno spora część. I ledwo się ks. kardynał przeprowadził, a już spływają prośby o wstawiennictwo – wytyczenia pojednawczego wariantu trasy S7 Kraków–Myślenice, by ks. kardynał rozwiązał problem kamienic na Kazimierz, gdzie odbywają się protesty przeciwko budowie hotelu, a stroną jest zakon. Zatem już ks. kardynał za Łodzią?

Nie dla tych powodów, które pani wymieniła. Tęsknota za Łodzią to inny kawałek serca.

A będzie ks. kardynał ingerował w takie kwestie?

Są sprawy społeczne, z którymi ludzie do mnie przychodzą i trudno, żeby biskup był na to obojętny. Ale to nie jest tak, że jak ludzie porozmawiali z kardynałem, to znaczy, że sprawa będzie rozwiązana. Nie jestem po to, by je rozstrzygać, a jedynie przekazać w imieniu ludzi, którzy je zgłaszają. Oczekiwania dotyczące obwodnicy mogą jedynie zgłosić władzom miasta z informacją, że są ludzie, którzy proszą o jakąś interwencję w tym zakresie. Inną prośbę grupy mieszkańców, dotyczącą opłaty parkingowej w mieście w niedzielę przekażę prezydentowi, który obiecał jeszcze raz przyjrzeć się tej kwestii. Jestem przekonany, że zanim podejmie się decyzję, najpierw warto posłuchać wszystkich stron.

W tych wszystkich spornych sprawach – takich jak głośna historia budynku na Kazimierz, czy słynną karuzela w Zakopanem – zasadniczo widzę swoją rolę w budowaniu przestrzeni do spotkania i wzajemnego wysłuchania. Boję się, że to, co funkcjonuje w przestrzeni publicznej, za każdym razem jest bardzo jednostronne. W takich sytuacjach warto porozmawiać z każdym, być może w tych rozmowach otworzy się jakaś inna perspektywa, która pozwoli coś rozwiązać. Nie jest też tak, że biskup krakowski ma władzę nad każdym w tej przestrzeni, np. zakony podlegają biskupowi tylko w kwestii duszpasterstwa. To ja mianuję proboszcza, który jest zakonikiem, ale wskazuje go wspólnota zakonna, a nie moje widzimisie. Nie uciekam, oczywiście, od odpowiedzialności, ale bardzo często ona się sprowadza właśnie do tego, że mogę porozmawiać, pokazać inne racje. Czy ludzie przychodzą? Przez te ponad trzy miesiące, jeśli jestem w domu, przyjmuję 20–30 osób dziennie. To wyczerpująca praca, bo każdemu z tych ludzi należy się moja pełna uwaga, gdy przychodzi, żeby z mną porozmawiać.

Dużo ludzi, spraw, problemów.

Wielkiej tajemnicy o tym, jak funkcjonują media nie zdradzę, mówiąc, że nam wszystkim musi się klikać. Franciszkańska nierzadko była dla nas w ostatnich latach pretekstem dla klikalnych tekstów. Nie zdradzę też wielkiej tajemnicy, że dobre newsy klikają się słabiej niż kontrowersyjne tematy, ale informacja o tym, że ks. kardynał chce przeznaczyć pieniądze z tacy na pomoc dla Ukrainy, klikała się jak szalona i – o dziwo – raczej bez hejtu w komentarzach, przynajmniej u nas. Gratuluję, bo w kwestii zasympowania podziału każdy krok ma znaczenie.

To była oczywista reakcja, nie wyobrażam sobie nie zareagować na zagrożenie czyjegoś życia. A gratulować trzeba Polakom, bo ta zbiórka przekroczyła granicę diecezji. To im należy się wdzięczność za to, że w rekordowym czasie zebrano 6,5 mln zł. Jako diecezja i Caritas krakowska zostaliśmy postawieni przed zadaniem bardzo szybkiej organizacji pracy, tak, by wszystko to było konkretne i przejrzyste, a także, żeby się przełożyło na właściwą pomoc. Zwłaszcza na absolutnej wysokości zadania, bo sam kilkakrotnie byłam tiryami na Ukrainie. Trzeba gratulować Polakom i – powiem przekornie – kompletnie się tym hejtem nie przejmować.

Ks. kardynał się nie przejmuje?

Nie do końca, bo nawet jeśli ktoś anonimowo wyraża jakieś przekonania w niektórych momentach przekraczające formę, albo wręcz agresywne, to za tym stoi przecież jakiś człowiek. I dlatego trudno się tym nie przejmować. Natomiast nie można kierować się tym w życiu. Ta pomoc była zbierana z jakiegoś powodu i jestem głęboko przekonany, że jest on ewangeliczny. Dlatego hejt nie może być powodem, żeby się z takiego działania wycofać.

W filmiku zachęcającym do udziału w synodzie mówi ks. kardynał: „Potrzebujemy przeorać ziemię krakowskiego Kościoła, aby stała się na nowo pulchna”.

Wszystko przez krety... Chciałem nagrać film zapraszający na spotkanie synodalne. Akurat byłem na dwóch Eucharystiach w kościele Matki Bożej Zwycięskiej w Borku Fałęckim i jedyną przestrzenią, gdzie mogłem to zrobić był ogród przy plebanii, cały przekopany przez krety. Z trudem próbowaliśmy ustawić kamerę. Motyw przekopanej ziemi bardzo do mnie trafił, bo nikt nie sypie ziarna na beton, wierząc, że wyrośnie. Zanim

rzuci się ziarna, sensownie jest przekopać ziemię.

Ale to niezbyt optymistyczna diagnoza stanu krakowskiego Kościoła.

To jest diagnoza każdej wspólnoty Kościoła i każdego człowieka. Przypowieść o siewcy mówi wyraźnie, że ziemia musi być żyzna, żeby ziarno wzrosło. Zaczynamy Wielki Tydzień, który przypomina, że potrzebujemy powstać ze śmierci. To nie jest żaden atak na nikogo, to jest przeprowadzenie przez sedno Ewangelii: odkrywam swoją śmierć i odkrywam Tego, który z niej wyprowadza.

Parę lat temu dominikanin, o. Kłoczowski powiedział w rozmowie z „Gazetą Krakowską”, że: „W katolickim kraju, jakim jest Polska, Jezus jest słabo znany”. To wciąż aktualne słowa?

W takim katolickim kraju jak Polska, pochodzący stąd papież Jan Paweł II użył po raz pierwszy pojęcia nowej ewangelizacji. Było to w czasie jego pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny w 1979 roku w Nowej Hucie. Zawsze o tym myślę z głębokim przejęciem. Znał Nową Hutę, wiedział, że ludzie tam dawali się pobić i zamknąć do więzienia za to, żeby mogli wybudować kościoły. Kiedy pół roku później przyjechał jako papież, mówił do tych ludzi, którzy go witali jak największego bohatera w dziejach: potrzebujecie od nowa postawić krzyż i mówić, o co w nim chodzi. To było dla mnie fascynujące, ilekroć czytałem ten tekst. Papież powiedział, że trzeba od nowa zacząć głosić Ewangelię. I ta Jego diagnoza w Kościele ciągle jest aktualna. Żaden z papieży po Janie Pawle II nie wyparł się pojęcia nowej ewangelizacji. Na pewno jest też tak, że każde pokolenie musi usłyszeć to orędzie. Każdy człowiek musi je usłyszeć na nowo, osobiście. A tym orędziem nie jest jakaś teoria, poglądy, system etyczny, ale osoba. To, co się w chrześcijaństwie liczy to jest osoba Jezusa Chrystusa. Nie dziwię się więc, że ojciec Kłoczowski o tym mówił. Ja też milion razy o tym mówiłem. Ale przede wszystkim z wielką mocą mówią o tym papieże. Mamy chadeckie partie, chrześcijańską kulturę, ale czy za tym kryje się osobista relacja z Jezusem Chrystusem? Czasem się okazuje, że z tym jest bieda, więc trzeba o tym nieustannie mówić.

A młodzi w Kościele? Ks. kardynał ma wizerunek duchownego z gitarą, który jeździ na rowerze i maszeruje w pielgrzymkach, to dobry punkt wyjścia, by otworzyć Kościół na ludzi młodych?

Mogę się podzielić pięknym doświadczeniem łódzkim. Za-

proszono mnie tam do technikum, w którym uczą się zasadniczo chłopaki, więc ktoś by powiedział, że niekoniecznie zainteresowani spotkaniem z biskupem, ale poszedłem chętnie. Zadawali pytania, padło ze dwadzieścia i wydać, że atmosfera się dopiero rozgrzewa, ale czas się skończył. Zaprosiłem ich więc na drugie spotkanie do siebie do domu – przyszli raz, drugi, trzeci. To było wyśmienite. Z tych rozmów powstała książka. W Łodzi robiliśmy też Arenę Młodych, na którą przychodziło 7-8 tys. młodych ludzi, niekoniecznie wierzących. Takie momenty zostają w głowie, kiedy ktoś pyta, czy „To pan jest tym panem Ryśkiem?” Napisałem też list do młodych, który rozdawaliśmy przez katechetów we wszystkich szkołach średnich w Łodzi. Dostałem ze czterdzieści czy pięćdziesiąt listów w odpowiedzi, bo ci młodzi wyszli z założenia, że na listy się odpowiada. A odpowiedzi były różne, był taki jeden, który mnie zrzywał. Napisał, że mój list przekazywany w szkole to wyraz imperializmu Watykanu. To nie był hejt z anonimowej strony, bo ten odważny młody człowiek napisał, co myśli i podpisał się imieniem i nazwiskiem. Myślę, że trzeba z nimi bardzo poważnie rozmawiać. Jeśli młodzi widzą, że są traktowani poważnie, chętnie w tę rozmowę wchodzi. Dodam, że to był bardzo długi list, więc musieli się naczać.

To jeszcze polonistom ks. kardynał pomógł. Tymczasem w Krakowie trwa II Synod Duszpasterski Archidiecezji Krakowskiej. Prace mają potrwać do października 2027 roku. Ks. kardynał zachęca do udziału, co przeciętnego mieszkańca miasta w tym synodzie może czy powinno zainteresować? Innymi słowy, jak przekłada się on na życie zwykłego człowieka?

Synod służy odkryciu tego, że jesteśmy wspólnotą ludzi wierzących, że nie wierzymy każdy osobno, pojedynczo i indywidualistycznie, ale razem, tworząc Kościół. W tej wspólnotcie każdy ma nie tylko prawo, ale i obowiązek odnaleźć się w miejscu, które pan Jezus mu zadaje przez chrzest, charyzmaty, przez umiejętności, kompetencje, wykształcenie. Każdy ma inne miejsce, ale chodzi o wspólne przeżywanie wiary i o odpowiedzialność za budowanie Kościoła. Wiemy o tym od Soboru Watykańskiego II, który nazwał Kościół ludem Boga, podkreślając właśnie tę wspólnotowość. W teorii mamy to rozpracowane, księży się tego uczą w seminariach, ale pytanie, jak te wszystkie piękne zasady przekładają się na codzienność

w Kościele. Wiemy, co to jest prymat, kolegalność biskupów, wiemy, co to jest hierarchia w Kościele i dochodzimy do momentu, kiedy się pojawia pytanie, co to jest synodalność, która jest wyrazem tego, że jesteśmy ludem Boga. To są rozmowy o tym, jak być Kościołem, który jest wspólnotą ludzi wierzących. Wspólnotą, która jest różnorodna, ale w tej różnorodności jest przecież jedna.

Jaki krajobraz zastał ks. kardynał po apb. Marku Jędraszewskim tu w Krakowie?

Rozmawialiśmy poważnie z abp. Markiem dwa razy. Przekazywał mi to, co uważa za ważne w sytuacji Kościoła, w momencie, gdy odszedł na emeryturę. Nie są to jednak rozmowy, które mogą upubliczniać. Jesteśmy różni, nikt tego nie kryje, ale pierwszy dokument, jaki wręczyłem jako nowy metropolita krakowski był dokumentem dla abp. Marka, jako seniora w tej diecezji, mówiący o tym, że może pełnić wszystkie posługi, na które prawo kanoniczne daje pozwolenie. Chciałem, żeby abp Marek czuł się absolutnie wolny w dalszym posługiwaniu w tym Kościele.

To znaczy, że abp Jędraszewski będzie mieszkał w parafii św. Floriana?

Prawo kanoniczne mówi, że diecezja ma absolutną obowiązek zadbać o swojego biskupa seniora i, oczywiście, diecezja zadba.

Nie boi się ks. kardynał dwuwładzy?

Nie ma żadnej dwuwładzy. Arcybiskup wie, że jest senior i jest bardzo lojalny. Nie widzę tu żadnego problemu. Poza tym abp Marek nie jest jedynym seniorem, mamy też kardynała Stanisława. Obaj są dokładnie na tych samych prawach. Tak, jak diecezja ma obowiązki wobec kardynała Stanisława za lata jego posługi jako biskupa, tak ma obowiązki wobec abp. Marka.

Zapytam o otwarcie archiwum kurii krakowskiej, to świeża sprawa, więc jeszcze pewnie wielkich wniosków z tego nie można wyciągać, ale już wiadomo, czy jest zainteresowanie.

Każde archiwum jest jednostką badawczą, naukową i z tego powodu powinno być otwarte dla wszystkich, którzy chcą i potrafią robić naukowe kwerendy. To nie jest tajemnicą, że nie byłem entuzjastą zamknięcia archiwum krakowskiego i dlatego jedną z moich pierwszych decyzji było jego ponowne otwarcie czytelnik naukowej i mianowanie nowego dyrektora. To bardzo kompetentny człowiek, historyk Kościoła z doktora-

tem napisanym u ks. prof. Kracika, a więc człowiek, który przesiedział w tym archiwum setki godzin zajmując się głównie historią Kościoła krakowskiego w czasach nowożytnych. Chcemy, by to archiwum wróciło do sieci jednostek badawczych, w których jest prowadzona praca naukowa. Przez te cztery lata zamknięcia czytelnik, ileś programów badawczych, zupełnie neutralnych, gdy chodzi o tematykę, zostało zastopowanych. To były zespoły historyków z grantami na prowadzenie badań, z których potem nie mieli się jak wywiązać, więc teraz szturmem ruszyli do archiwum. Mam takie pragnienie, by funkcjonować na takich samych zasadach jak każde podobne archiwum.

Media donosiły niedawno, że krakowska kuria zareagowała bez precedensu na oskarżenia wobec bp. Jana Szkodonia. Nie broniła hierarchii, zapowiedziała komisję i spotkania z ofiarami. Ten prosty gest to miłowy krok, choć już wiadomo, że nie będzie krakowskiej komisji do spraw wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościele, będzie ogólnopolskie gremium zajmujące się tymi kwestiami. To rzeczywiście lepsze rozwiązanie czy przeczucie gorącego kartofla?

Nie ma mowy o żadnym przeczuciu gorącego kartofla. W tak postawionym pytaniu są dwa tematy. Pierwszy dotyczy zarzutów wobec bp. Szkodonia. Jest o tyle trudny, że mamy do czynienia z człowiekiem, który już nie żyje. Dlatego mimo pojawienia się nowych oskarżeń pod jego adresem, przeprowadzenie jakiegokolwiek procesu, tak cywilnego jak i kościelnego, jest po prostu niemożliwe. W takiej sytuacji jedyną możliwością jest historyczne zbadanie sprawy. Dlatego powiedziałem, że jedynym możliwym sposobem procedowania jest powołanie komisji historycznej. I to jest drugi temat. Na decyzję, czy ta sprawa będzie częścią działań komisji ogólnopolskiej, czy też komisji powołanej dla zbadania spraw w archidiecezji krakowskiej, daję sobie czas do czerwcowego zebrania Konferencji Episkopatu Polski. To wtedy, mam nadzieję, wybierzemy przewodniczącego komisji ogólnopolskiej. Następnie razem z nim spróbujemy stworzyć jasne reguły współpracy między komisją a diecezjami i zakonami. Od efektów tych działań uzależnim ostateczną decyzję, co do kierunku działań w Krakowie. Tak czy owak, zarzuty wobec biskupa Szkodonia trzeba uczciwie wyjaśnić.

W Kościele wiele jeszcze trudnych tematów, ale rozma-

wiamy w Niedzielę Palmową, a nasi czytelnicy znajdą tę rozmowę w świątecznym wydaniu, więc wielkanocny akcent też musi być. To pierwsza Wielkanoc ks. kardynała na Franciszkańskiej 3, jak będzie wyglądała? Kardynał idzie z koszyczkiem?

Mogę sobie sam poświęcić pokarmy, ale pójde na krakowski Rynek. Dla mnie Wielkanoc, a właściwie Triduum Paschalne, to najważniejsze wydarzenie w roku. Jest takim dzięki liturgii i wszystko inne, czy będzie biała kiełbasa, czy chrzan utarty nie jest ważne. One mają znaczenie o tyle, że są symbolami. Najważniejsza jest wigilia paschalna, którą w Katedrze na Wawelu przesunęliśmy trochę w czasie, żeby się odbywała w nocy, a nie gdzieś tam ledwie o zmierzchu. W tym roku Wigilię Paschalną w katedrze zaczynamy o godzinie 22. To jest wydarzenie, na które czekam cały rok, a potem próbuję nim żyć przez następny.

Święta to też taki czas, który chcemy spędzać z bliskimi. Osoba na takim stanowisku może znaleźć chwilę na to, żeby być wtedy z przyjaciółmi, bliskimi?

Kiedy byłem w Łodzi zazwyczaj w Niedzielę Wielkanocną po odprawieniu sumy wsiadałem w pociąg do Krakowa, jechałem do rodziców i brata. W tym roku pójde do rodziców na Salwator, żeby się chwilę pomodlić przy grobie. Na pewno spotkam się z bratem.

Wróć jeszcze do koszyczka. Co z zającem z czekolady, święcimy?

To jest późny wymysł. Natomiast te pokarmy, które się święci z poważnie traktowanej tradycji to: mięso, które przypomina baranka paschalnego; jajko jako symbol nowego życia; chrzan symbolizujący to, co w naszym życiu gorzkie, co jest naszą śmiercią, co nas zabija, a z czego nas Pan wyrwał wyprowadzając z niewoli; i pieczywo, które przypomina niekwaszony chleb, z którymi Żydzi wychodzili z niewoli egipskiej. Ten chleb był wielkim znakiem miłosierdzia Bożego. Nie był zakwaszony, ponieważ Żydzi nie zdążyli przygotować się na wyjście z Egiptu. Gadali o nim i gadali, ale jak przyszło co do czego, to nawet chleba na drogę nie mieli. To jest niesłychanie ważny znak tego, że czasami Pan Bóg nas musi wyrwać z niewoli mimo braku naszej gotowości. My z nim gadamy, że bardzo byśmy chcieli, ale jak trzeba nas wyprowadzić, to nas musi wziąć za kark i po prostu wywlec, bo tak jesteśmy pogodzeni z naszą niewolą. To katecheza, która radykalnie dotyka naszego życia. Dlatego nie warto przepuścić jej na jakieś za-

jęczki albo inne elementy ludyczne!

Niemniej jednak to radosne święta, a w tym roku ani w Krakowie, ani na świecie chyba nie będą tak radosne, jak byśmy chcieli za sprawą narastających sporów politycznych, niepokoju na świecie budzących lęk. Jak sobie z tym poradzić?

Pokój przychodzi przez ludzi, którzy idą za Jezusem, Księciem Pokoju. Trzeba szerzyć pokój, ale na jego sposób. Trzeba sobie zadać pytanie, czy ja potrafię być człowiekiem pokoju w swoim otoczeniu. Pamiętam, jak przyszła wiadomość o rozpoczęciu przez Rosję pełnowymiarowej wojny przeciw Ukrainie. Dowiedziałem się o tym na trzy minuty przed wyjściem do ołtarza w Bazylice św. Piotra na tej czwartkowej mszy na grobie Jana Pawła II. Idąc do ołtarza myślałem, co to znaczy dla mnie. Myślę, że najpierw znaczy to, czy ja nie potrzebuję się z kimś pojednać? Można mówić o pokoju w takim wymiarze, na który ma się na niego wpływ. Osobiście mam niewielki wpływ na to, co rozmaici ludzie robią w świecie, ale mam wpływ na to, co ja robię w najbliższym otoczeniu. Pokój może rosnać jedynie od dołu, bo inaczej jak?

Nigdy ks. kardynał nie wątpi w to zło dobrem zwyciężaj?

To polskie tłumaczenie jest niedokładne. Grecki tekst mówi dosłownie: zło w dobrym zwyciężaj. To znaczy, że trzeba być bardzo mocno osadzonym w tym, co dobre, albo lepiej: w Tym, który jest dobry, żeby zwyciężać. W to nie wątpię.

Na rozmowę o tym, jak rozpoznać, co jest dobre, chyba musimy się umówić oddzielnie, tymczasem chciałabym poprosić ks. kardynała o życzenia dla naszych czytelników, tych wiernych papierowej gazetki i tych z nosami w komórkach.

Drodzy Państwo, bardzo wam życzę wielkanocnej nadziei. Ta wielkanocna nadzieja mówi, że ostatnie słowo należy do dobra, miłości, pokoju. Wierzący powiedzą, że ostatnie słowo należy do Boga – o tym są te święta i że to zwycięstwo dobra nad złem, miłości nad nienawiścią, Boga nad szatanem i nad złem może się dokonać przede wszystkim w każdym z nas. Dla tych, którzy są ochrzczeni już się dokonało, tylko potrzebujemy to zwycięstwo w sobie odnaleźć, więc bardzo państwu życzę takiego właśnie wielkanocnego doświadczenia. A także dobrego jajka, najlepiej z chrzanem, czyli nowe życie, które jednak jest świadome tego, co w nim było gorzkie, ale już nie jest. Wszystkiego dobrego!

MÓJ RAK. WIELE MI ODEBRAŁ, ALE DUŻO MU ZAWDZIĘCZAM

Diagnoza najpierw burzy świat. Potem ten świat trzeba odbudować. I zdrowie. Warto zrobić to lepiej. Z pomocą tych, którzy nie zawiedli. Mnie się udało

Lucyna Tałaska-Klich

Najpierw jest strach, przerażenie. Potem pojawiają się pytania: Co teraz? Od czego zacząć? Jak to powiedzieć najbliższemu? Jakie mam szanse na przeżycie, wyzdrowienie?

Badania odkładane na potem

Nie miałam żadnych niepokojących objawów, ale wierzę, że tam wyżej ktoś nade mną czuwa. Być może dlatego pewnego majowego popołudnia znalazłam się na SOR-ze. Za dużo obowiązków, także w domu, więc organizm miał dość.

Badania kontrolne przekładałam, zawsze ważniejsze były badania mamy lub męża. Moje zdrowie miało grzecznie czekać na swoją kolej.

Nie poczekało.

- Trzeba odpocząć, nie wolno się stresować - usłyszałam wtedy od lekarki. Pomyślałam: Łatwo powiedzieć, a w domu czeka ciężko chora mama wymagająca całodobowej opieki. Obiecałam jednak, że pojdę zrobić „przeгляд”.

Mój lekarz rodzinny skierował mnie na różne szczegółowe badania. Jedno wykazało, że tym, co najbardziej niszczy mój organizm, jest nowotwór przewodu pokarmowego.

Jak ognia unikam śmieciowego jedzenia, więc skąd ten rak?! - Gdyby jadła pani byle co, to choroba pojawiłaby się z dwadzieścia lat temu, a wtedy rokowania byłyby znacznie gorsze - usłyszałam w bydgoskim Centrum Onkologii, do którego trafiłam z Kartą DiLO (czyli Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego).

W rejestracji CO przyznałam, że czuję się bardzo zagubiona. Nie wiem, od czego powinnam zacząć, które dokumenty najpierw okazać. Głos mi się łamał, ręce trzęsły.

Takiej siebie nie znałam.

Kilka dni później siedziałam już w gabinecie chirurga. Mówił dużo, spokojnie tłumaczył, co mnie czeka. Z wielu słów mój mózg wyłowiał: - Rokowania są dobre.

Stopniowo zaczęłam oswojać się z sytuacją. Poczulałam, że w bydgoskim Centrum Onkologii będę „dobrze zaopieko-

wana”. I bezpieczna. W końcu to jedna z najlepszych placówek leczących nowotwory w Polsce. Byłam wdzięczna losowi, że zamieszkaliśmy blisko Bydgoszczy, niedaleko od CO.

A nie raz, nie dwa słyszałam, że niektórzy pacjenci rezygnują np. z jakiegoś zabiegu, części leczenia, bo nie stać ich na dojazd. - Moja siostra mieszka tylko z mężem. To bezdzielni emeryci. Mają ponad 200 kilometrów do bydgoskiego Centrum Onkologii. Czasami, jak nie mają pieniędzy na benzynę (a nie zawsze możemy im pomóc), siostra zmyśla, że ma np. grypę i rezygnuje z sesji chemioterapii.

Polska leczy się w Bydgoszczy

Do bydgoskiego CO zjeżdżają pacjenci z różnych części kraju. Dziwią się, że nie muszą płacić za miejsce na parkingu ani za oglądanie telewizji w salach, a w szpitalnych oddziałach czeka na nich bezpłatna woda mineralna i ogólnodostępne czajniki. - Tak być powinno wszędzie - stwierdził młody chłopak z południa Polski, który do bydgoskiego szpitala przywiózł tatę. - I jedzenie jest „full wypas”, bo pacjenci mogą schodzić do restauracji, gdzie jest szwedzki stół - dodał.

Jego tata leczył się wcześniej w powiatowym szpitalu. - Zoperowali go, ale coś im nie wyszło i poradzili nam, żeby jechać do Bydgoszczy - opowiada chłopak.

- Mnie też operowali w powiatowym szpitalu i gdy pojawiły się powikłania, poradzili żeby tutaj przyjechać - mówi pacjentka z Wielkopolski. - Wcześniej wszędzie szukałam ratunku. Ostatnie pieniądze wydałam na wizyty u profesora w Poznaniu. Wie pani, jak wyglądały wizyty u niego? Profesor nawet dobrze w dokumentację medyczną nie popatrzył, stwierdził, że będzie dobrze i powiedział, żeby przyjść do niego za dwa tygodnie! Trzy minuty rozmowy z czterysta złotych, żadnych konkretów, pomocy! Więcej do niego nie poszłam. Dobrze, że się dowiedziałam o bydgoskim „onkologu”.

Tylko nie rozumiem, dlaczego inni zabierają się za leczenie raka, choć tego nie potrafią?

- Każdy chce mieć szansę na wyleczenie, więc wstawiamy po cztery łóżka, choć powinni być po trzy - tłumaczy pielęgniarka. - Przecież nie możemy odmówić nikomu leczenia, a nowotworów przybywa.



Wiele informacji na temat leczenia nowotworów można znaleźć na: onkologia.gov.pl

Każdy chce mieć szansę

Na oddziale, gdzie podają chemioterapię, pacjentów jest zwykle więcej niż miejsc w salach. Niektórzy przysypiają w fotelach, na krzesłach, czekając, aż zwolni się łóżko.

To czasami trudno przewidzieć, bo zdarzają się powikłania albo pacjentowi trzeba przerwać wlewy ze względu na wizytę u lekarza, konsultację.

- Wyjechałam z domu o drugiej w nocy, żeby zdążyć na siódmą, no i teraz zasypiam na siedząco - mówi pacjentka z Mazowsza. Zaraz dostanie swoje łóżko, na razie na korytarzu. - O, jak dobrze, że mogę się położyć - mówi z zadowoleniem, choć korytarzem co jakiś czas ktoś przechodzi. Pielęgniarka zatrzymuje się na moment, czule głaszcze ją po ręce. - Za chwilę będzie dla pani chemia - dodaje tak, jakby mówiła o pudełku czekoladek. - Będzie dobrze.

- Traktujemy pacjentów tak, jak chcielibyśmy, żeby nas traktowano - mówi inna pielęgniarka z lekkim uśmiechem.

Jej koleżanki jedzą w tym czasie drugie śniadanie. W pośpiechu, w biegu, bo za chwilę na oddział wejdą kolejni pacjenci, wielu pacjentów...

- Każdy chce mieć szansę na wyleczenie, więc wstawiamy po cztery łóżka, choć powinni być po trzy - tłumaczy pielęgniarka. - Przecież nie możemy odmówić nikomu leczenia, a nowotworów przybywa.

w roku 2025 było to już 69 434 pacjentów.

Za mało informacji o skutkach ubocznych

Będę szczerą - droga do wyleczenia, łatwa nie jest.

Musi potrać.

W moim przypadku od pierwszej wizyty w CO minęło dziesięć miesięcy. Przede mną badania kontrolne, przed którymi nie będę się migać. Już wiem, że świat może poczekać. Choroba nauczyła mnie pokory i wiele spraw w moim życiu przewartościowała.

Uświadomiła mi, że jest wielu cudownych ludzi, na których mogę liczyć. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że jest ich aż tylu.

- Tu św. Mikołaj. Czekam przed bramą - usłyszałam w słuchawce telefonu tuż przed Bożym Narodzeniem. To przyjaciółka. Przywiozła świąteczne smakołyki. - Przecież nie masz siły na pichcenie - dodała. Nigdy jeszcze nie jadłam tak dobrych śledzi w zalewie albo pasztetu. I nigdy wcześniej nie płakałam ze wzruszenia jedząc pierniczki domowej roboty.

Kolega, któremu rok wcześniej zmarła żona (przegrała z nowotworem), dzwoni regularnie: - Tylko nie rezygnuj z żadnej chemioterapii! Musisz wytrzymać! Potrzebujesz czegoś?

Inna przyjaciółka przywiozła kiszzone ogórki własnej roboty, bo słyszała, że zajadam się takimi ogórami na przemian z kiszoną kapustą i kanapkami z miodem. Czasami nawet jem to wszystko razem. Jakbym znów była w ciąży. I tak jak wówczas, w czasie chemioterapii - wymiotowałam. To jeden ze skutków chemioterapii.

Jest ich od groma: zmęczenie i ogólne osłabienie, biegunki, zaparcia, zmiany smaku (najczęściej chodzi o metaliczny posmak), brak apetytu; neuropatia (mrowienie w kończynach, drętwienie, zaburzenia czucia - szczególnie uciążliwe np. podczas mrozów lub upałów); zapalenie błon śluzowych, czasami nawet owrzodzenia, ból przy przełykaniu; zmiany na skórze (przebarwienia) i paznokciach (w tym zanokcica, która jest ropnym za-

paleniem wałów okołopaznokciowych) oraz zaburzenia pamięci.

Niestety lekarze o skutkach ubocznych mówią niewiele, zdecydowanie za mało.

Może nie chcą straszyć pacjentów?

Nie każdy przecież odczuje te wszystkie skutki uboczne. A może to z powodu braku czasu? Efekt jest taki, że pacjenci informacje czerpią ze szpitalnych ulotek lub radzą sobie wzajemnie, bazując na własnych doświadczeniach.

Nie zawsze wychodzi to chorym na dobre.

- Włosy na pewno ci wypadną - powiedziała mi jedna z pacjentek, dla której szklanka jest do połowy pusta. Owszem, przeredziły się, ale nie wypadły.

Jak ci włosy zostaną, to też źle, bo to znaczy, że chemia nie działa i na pewno twój rak powróci.

To też bzdura.

Takich „energetycznych wampirów” lepiej podczas leczenia unikać. Bo bardzo ważne jest pozytywne nastawienie i wiara w dobre zakończenie terapii.

Ale pan mnie uratuje?

Bywa, że na skuteczną terapię jest już za późno.

- Co mam powiedzieć żonie? Prawdę? Przecież ona takiej informacji nie udźwignie! - mówi mężczyzna, który właśnie dowiedział się, że jego żona ma liczne przerzuty i rokowania są kiepskie. - A tak prosiłem, żeby wcześniej poszła do lekarza, przebadana się. Nie chciała, lekceważyła niepokojące objawy.

- A wie pani, jak mi w takiej sytuacji jest ciężko? - mówi lekarz. - My też złe informacje „odchorowujemy”. Ktoś powie, że taka nasza robota. Przecież chcemy przede wszystkim leczyć, a nie tylko przedłużać życie o miesiąc czy dwa, ułatwić odchodzenie bez bólu. Czasami jestem zły na pacjenta, bo nie poszedł w porę na badania, nie zadbał o swoje zdrowie. A miał czas, żeby np. jechać na wakacje, kilka razy w tygodniu chodzić na siłownię... Gdy słyszę od zrozpaczonego pacjenta: „Ale pan mnie uratuje?”, to szlag mnie trafia. Przecież nie jestem bogiem. Każdy ma szansę, żeby uciec przed chorobą, tylko trzeba się badać!

Już jako pacjentka CO, poszłam na badanie mammograficzne. Spotkałam matkę z córką.

Matka: - Po co tu przyszłyśmy? Jeszcze coś mi znajda i tylko będą problemem.

Córka: - Problemem jest twoje podejście! Masz się badać i koniec! Dla siebie, dla mnie i dla wnusi. Chcesz widzieć jak dorasta, być na jej ślubie?!

Matka: - Chcę. Bardzo chcę. ©©

Jak napisał ewangelista Św. Mateusz: „Pod wieczór przyszedł zamożny człowiek z Arymatei, imieniem Józef, który też był uczniem Jezusa. On udał się do Piłata i poprosił o ciało Jezusa. Wówczas Piłat kazał je wydać. Józef zabrał ciało, owinał je w czyste płótno i złożył w swoim nowym grobie, który kazał wykuć w skale. Przed wejściem do grobu zatoczył duży kamień i odszedł” (Mt 27,57-61).

Józef u Piłata

Można zasadnie spytać: dlaczego Józef z Arymatei musiał udać się do Piłata i poprosić o ciało Jezusa, by móc je pogrzebać? Wynika to wprost z faktu, że w starożytności pozbawienie życia skazanego – w tym przypadku Jezusa – nie było równoznaczne z końcem kary. Prawo rzymskie przewidywało dla ukrzyżowanego dodatkową, poniżającą karę – utratę czci. Zdarzało się więc, że pozostawiali jego ciało na krzyżu przez kilka dni, wystawiając je na pożarcie przez ptaki.

Prawo rzymskie przewidywało co prawda wydanie ciała straconego skazańca jego krewnym, jednak w praktyce nie było to łatwe do zrealizowania. W świetle religii żydowskiej było to uważane za barbarzyństwo, bowiem nawet największy zbrodniarz nosił w swoim cieple obraz i podobieństwo Boże.

W Księdze Powtórzonego Prawa (21,22-23) czytamy: „Jeśli ktoś popełni zbrodnię polegającą karze śmierci, zostanie stracony i powieszysz go na drzewie – trup nie będzie wisiał na drzewie przez noc, lecz tegoż dnia musisz go pogrzebać. Bo wiszący jest przeklęty przez Boga. Nie zanieczyścisz swej ziemi, danej ci przez Pana, Boga twego, w posiadanie”.

Zmarły w 2012 r. biblista ks. prof. Stanisław Bielecki twierdził, że tłumaczyło to postawę Żydów po ukrzyżowaniu Jezusa, opisaną przez św. Jana: „Ponieważ był to dzień Przygotowania, aby zatem ciała nie pozostawały na krzyżu w szabat – ów bowiem dzień szabatu był wielkim świętem – Żydzi prosili Piłata, aby ukrzyżowanym połamano golenie i usunięto ich ciała” (J 19,31).

Jezusa ukrzyżowano w szóstym dniu tygodnia, a ostatnim przed Paschą, w którym czyniono przygotowania do jej spożycia. Zakaz wykonywania jakichkolwiek prac związany z obchodem Paschy nakazywał pośpiech, gdyż obowiązywał on już w przeddzień święta od zachodu słońca.

Stąd wynikała prośba Żydów do Piłata, by przyspieszono śmierć ukrzyżowanych. Wiemy, że Rzymianie uwzględnił tę prośbę Żydów. „Przyszli żołnierze i połamali golenie tak pierwszemu, jak i drugiemu, którzy z Nim byli ukrzyżowani. Lecz gdy podeszli do Jezusa

Wszyscy czterej Ewangelieści zgodnie i w miarę precyzyjnie podają, w jakich okolicznościach i w jaki sposób dokonano pogrzebania ciała Ukrzyżowanego

Mariusz Grabowski

OBYCZAJE POGRZEBOWE W PALESTYNIĘ CZASÓW JEZUSA

i zobaczyli, że już umarł, nie łamali Mu goleni, tylko jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok i natychmiast wypłynęła krew i woda” (J 19,32-34).

Wyścig z czasem

Po otrzymaniu zgody od Piłata można było przystąpić do obrzędów pogrzebowych. Zdjęciem ciała z krzyża i jego pogrzebaniem zajmowali się wyłącznie mężczyźni. Ewangelieści Marek i Łukasz zaznaczają, że to Józef z Arymatei zabrał z krzyża ciało Jezusa (Mk 15,46; Łk 23,52), zaś Jan, gdy pisze ogólnikowo „zabrali ciało Jezusa” (J 19,40) miał na uwadze przynajmniej udział Nikodema.

Znów oddajmy głos ks. Bieleckiemu: „Prawo żydowskie nakazywało grzebanie zmarłych jak najszybciej (...) zwyczajowo pogrzeb odbywał się w osiem godzin po zgonie. W normalnych okolicznościach ciało zmarłego przygotowywano do pogrzebu w domu. W przypadku Jezusa trzeba było to uczynić na miejscu kaźni, w ogrodzie, za miastem, gdyż czas naglił. Dlatego pogrzeb Jezusa ograniczono do najważniejszych czynności”.

Do owych najważniejszych należało: owinięcie ciała w płótno, zaniesienie do grobu na rękach, złożenie w grobie i zamknięcie kamieniem.

Ciała Jezusa prawdopodobnie przed pochówkiem nie obmyto, bowiem w przypadku gwałtownej śmierci (połączonej z upływem krwi) nie było takiej praktyki. Następnie owinięto ciało w płótno, co potwierdza św. Mateusz: „Józef zabrał ciało, owinał je w czyste płótno” (27, 59). Zwykle ciało owijano w prześcieradło, a poszczególne warstwy przesypanyo wonnościami. Twarz zakrywano chustą, ręce zaś i nogi przewiązywano opaskami, co z kolei potwierdza św. Jan opisujący wskrzeszenie Łazarza: „Wyszedł zmarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była zawinięta chustą” (J 11,44).

Św. Jan, pisząc o Piotrze w grobie Jezusa po zmartwych-

wstaniu, zaznacza: „wszedł do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótno oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu” (J 20,7). Prawdopodobnie zatem ciało Jezusa nie było owinięte „spiralnie”, lecz na jednej czę-

ści długiego płótna ułożono ciało Jezusa, drugą natomiast częścią je przykryto. Następnie płótno zginano po brzegach i umacniano opaskami.

Ile można wypić?

Spójrzmy na ówczesne obyczaje żydowskie odnoszące się

do pogrzebów. Jednym z nich było oplakiwanie zmarłych przez grupę żałobników. Najmniejsza ich grupa składała się z dwóch osób grających na fletach oraz kobiety prowadzącej śpiew antyfon. Wyrazem żałoby był niekiedy gest rozdarcia szaty, nałożenie szaty z szorstkiego materiału, zrzucenie obuwia, przykrycie brody przez mężczyzn lub całej twarzy, położenie rąk na głowie i obracanie głową bądź całym ciałem. Jeśli ktoś trwał w stanie żałoby w święto Paschy, winien poddać się dodatkowo kąpieli rytualnej. Po pogrzebie rodzina i przyjaciele zmarłego gromadzili się na uczcie, zwanej „chlebem płaczących”. Sanhedryn skrzętnie ustalił ilość wina, które można było wypić podczas takiej uczty. Rozpoczął się trwający 30 dni okres żałoby. W pierwszych jego dniach najbliżsi zmarłego nie odpowiadali na powitania, nie używali filakterii podczas modlitwy i niekiedy ubierali się w „saq”, czyli wór pokutny.

Tu istotna uwaga: biblista ks. Mariusz Rosik twierdzi, że zwyczaj ten pochodzi już z wczesnych czasów rabinackich, czyli z czasów po zburzeniu Świątyni, ale najstarsze jej zręby ukształtowane były z pewnością już za czasów Chrystusa.

Jezusa pogrzebano w miejscu niezbyt odległym od miejsca ukrzyżowania – w grobowcu Józefa z Arymatei. Jak podają Ewangelie, znajdował się on w ogrodzie, był wykuty w skale i był on nowy, co znaczy że jeszcze nikt nie spoczywał

Dane o grobie Jezusa potwierdzają wykopaliska w Ziemi Świętej. Spośród różnych rodzajów grobowców znanych w czasach Nowego Testamentu na uwagę zasługuje taki, który składał się z dwóch komnat. Pierwsza z nich stanowiła rodzaj przedsionka, ciało natomiast znajdowało się w drugiej komorze złożone na ławie wykutej w skale.

Wejście do drugiej komory zazwyczaj zamykał okrągły kamień, który można było przetać na lewo lub na prawo wzdłuż dwóch podtrzymywa-

czy, z których jeden umieszczony był na dole, drugi zaś u góry. W tym kontekście zrozumiałe jest szczegól z pogrzebu Jezusa: Józef z Arymatei „przed wejściem do grobu zatoczył duży kamień” (Mt 27,60).

Wiemy od historyków i archeologów, że co bogatsi Żydzi urządzali niekiedy przed wejściem do grobu dziedziniec, na którym hodowano kwiaty i ozdobne krzewy. Czasem wejścia do grobów były wyciosane w skale i przypominały portale eleganckich domów. Drzwi robiono z drewna lub kuto z kamienia. Do Palestyny zawędrował też z Rzymu zwyczaj stawiania nagrobnych pomników. Na ścianach żydowskich grobów zachowały się też symbole religijne: np. menory, i świece; wieńce, ptaki czy owoce.

Ks. Rosik pisze, że lampy pozostawiane obok zmarłych stanowiły „symbol światłości”, która ma ich prowadzić po krajinie cieni, zaś bizuteria miała zyskać przychylność wyższych mocy, z którymi zmarłym przyjdzie się spotkać. Ta ostatnia nierzadko padała łupem rabusiów.

Żydowski historyk Józef Flawiusz opowiada o karze, która spotkała pładujących groby królewskie w Jerozolimie żołnierze Heroda, czego zresztą dokonywali na polecenie i pod przywództwem samego króla: „Otóż Herod (...) słyszał już dawniej, że Hirkan, jego poprzednik na tronie królewskim, otworzył grób Dawida i zabrał stamtąd trzy tysiące talentów srebra... Chcąc grobowiec dokładnie przeszukać, postanowił dotrzeć aż do trumien, gdzie spoczywały ciała Dawida i Salomona. Stracił jednak dwóch strażników, których, gdy wchodzili, miał ogarnąć ogień buchający z wnętrza”.

Oliwki z czasów Jezusa

Grób Chrystusa w Jerozolimie ma kilka istotnych szczegółów charakterystycznych dla grobowca odstąpionego przez Józefa z Arymatei. Np. aby zajrzeć do wnętrza grobu, trzeba się pochylić, podobnie jak to uczynił drugi uczeń z fragmentu Ewangelii św. Jana.

Wiosną 2025 r., pod Bazyliką Grobu Świętego, naukowcy z Uniwersytetu Sapienza w Rzymie odkryli szczytki roślin: drzewek oliwnych i winorośli, które mogą mieć nawet 2 tys. lat. Odkrycie jest zgodne z Ewangelią św. Jana, która dokładnie opisuje ogród, w pobliżu którego został ukrzyżowany Jezus, wraz z nowym grobem, w którym miało zostać złożone jego ciało.

Potwierdza to argumenty historyków Kościoła, wedle których cesarz Konstantyn dokładnie wiedział, który grób należy do Chrystusa. I dlatego w tym miejscu, po przyjęciu chrześcijaństwa, zbudował bazylikę, by upamiętnić jego śmierć i odizolować od pozostałych mogił.



Antonella da Messina „Ukrzyżowanie”. Obraz z 1475 r. Obecnie znajduje się w zasobach Królewskiego Muzeum Sztuk Pięknych w Antwerpii

FOT. DOMENA PUBLICZNA

O. PATTON: TRZEBA „ODSAKRALIZOWAĆ” I ZEŚWIECCZYĆ WŁADZĘ POLITYCZNĄ

Na Bliskim Wschodzie dzieje się to, co po upadku muru berlińskiego. Upadły świeckie ideologie, a ci, którzy sprawują władzę, zaczęli instrumentalizować religie, aby budować tożsamość i podziały - mówi o. Francesco Patton, autor medytacji Drogi Krzyżowej na Wielki Piątek w Koloseum, były Kustosz Ziemi Świętej

Roberto Cetera, „L'Osservatore Romano”

Ojciec Francesco, Papież powierzył Ojcu przygotowanie medytacji, które będą towarzyszyć Drodze Krzyżowej w Wielki Piątek w Koloseum.

Jest to jednoznaczny znak troski Ojca Świętego o Ziemię Świętą i o tragedie, które dotykają kraje Bliskiego Wschodu. Leon XIV, od dnia swojego wyboru, nieustannie wzywa do daru pokoju. Wyrażał bliskość i solidarność nie tylko wobec Ziemi Świętej, lecz także wobec wszystkich krajów, narodów i osób cierpiących z powodu wojny. Jest to zresztą linia Kościoła od ponad 100 lat, odkąd 1 sierpnia 1917 roku Benedykt XV odmówił błogosławienia armii, nazwał toczącą się wojnę „bezsensowną rzezią” i wezwał przywódców państw walczących do osiągnięcia sprawiedliwego i trwałego pokoju poprzez negocjacje, poszanowanie prawa międzynarodowego, zwrot okupowanych terytoriów, przywrócenie swobody przemieszczenia się oraz rozbrojenie, które uwolni zasoby na rzecz dobra wspólnego i rozwoju.

Od tamtej pory Kościół zawsze okazywał bliskość ludom doświadczonym przez wojnę i wielokrotnie powtarzał potępienie konfliktów zbrojnych, które nadal pozostają „bezsensowną rzezią”. Niemal w każdą niedzielę po modlitwie Anioł Pański oraz w każdą środę po katechezie podczas audycji ogólnej papież Prevest podkreślał konieczność dążenia do pokoju - powtarzam - nie tylko w Ziemi Świętej, lecz we wszystkich krajach (jest ich

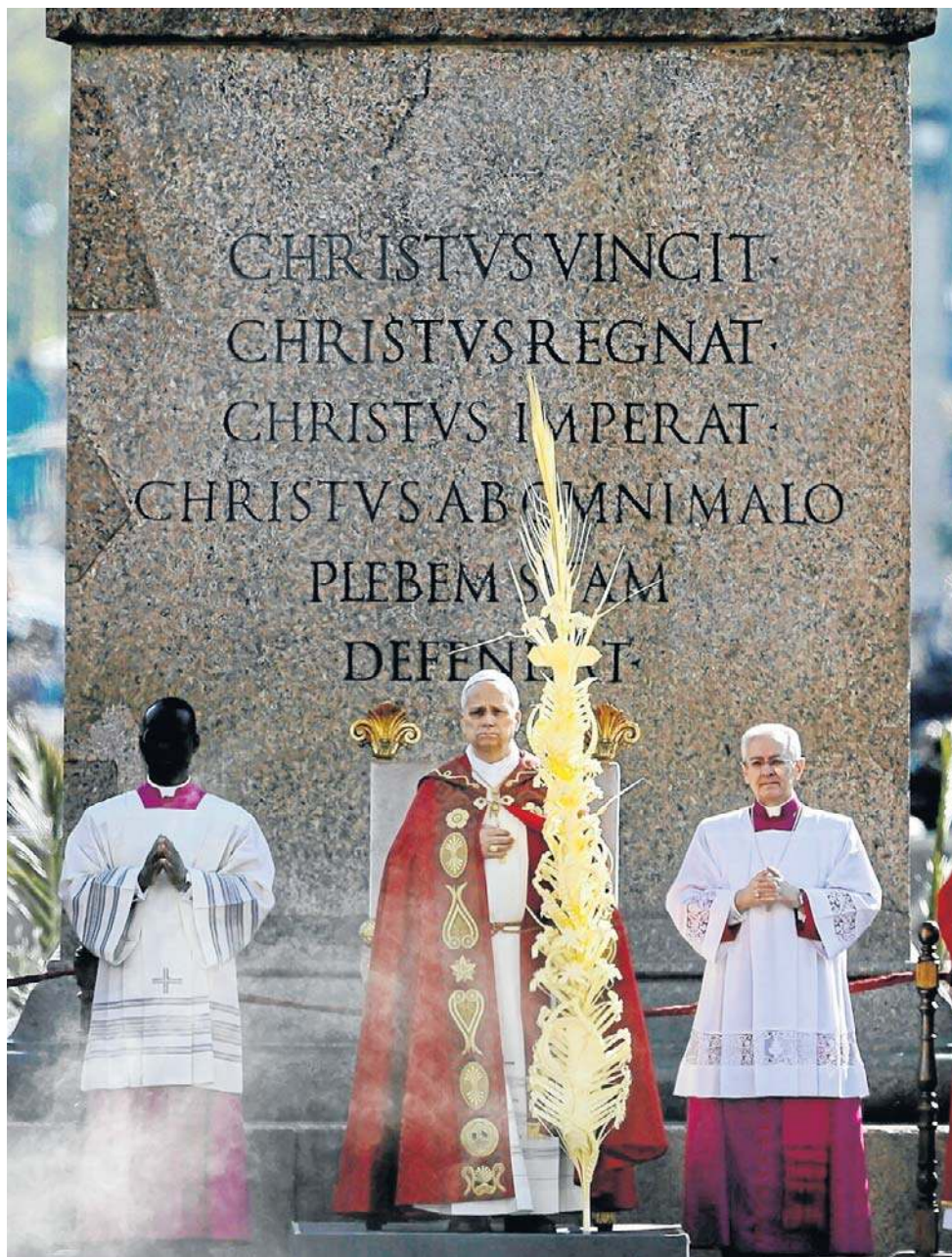
około 60), które są obecnie uwikłane w krwawe wojny. W ubiegłą niedzielę użył bardzo mocnych słów, odrzucając przemoc dokonywaną w imię Boga, mówiąc, że Bóg nie wysłuchuje modlitwy wojowników mających ręce splamione krwią.

Wyobrażam sobie, że otrzymanie tego zaproszenia było dla Ojca zaskoczeniem.

Było to bardzo duże zaskoczenie. W praktyce skontaktował się ze mną Sekretariat Stanu, informując, że Ojciec Święty - w związku z osiemsetną rocznicą śmierci św. Franciszka z Asyżu - polecił zwrócić się do mnie z prośbą o przygotowanie medytacji. To mnie zarazem onieśmieliło i zaszczyciło.

Co najbardziej inspirowało Ojca podczas pisania tych medytacji?

Czerpałem inspirację z tekstów Ewangelii, ze szczególnym uwzględnieniem Ewangelisty Jana, który ma przenikliwe spojrzenie na tajemnicę Męki Pańskiej; a także z „Pism” św. Franciszka, które są skarbnicą duchowości chrześcijańskiej. W rozważaniach i modlitwach widać wyraźnie, że inspiracja pochodzi również z aktualnej rzeczywistości oraz z konkretnych osób, w których - w ciągu tych lat - mogłem dostrzec postacie Drogi Krzyżowej. Tam, gdzie mówię o cierpieniu matek i kobiet, w tle wyraźnie obecne są kobiety, o których pisał także „L'Osservatore Romano”, i które dziś uosabiają postać Maryi, Weroniki czy ko-



Papież Leon XIV podczas Niedzieli Palmowej w Watykanie

biet jerozolimskich. Za refleksją o wypaczonej koncepcji władzy i jej nadużywaniu stoją wydarzenia ze współczesnych wiadomości międzynarodowych, widoczne dla wszystkich; Szymon z Cyreny ma twarz wielu wolontariuszy i pracowników humanitarnych (a także ludzi mediów), których spotkałem w tych latach i którzy ryzykowali życie, aby zatroszczyć się o innych lub ukazać prawdę - nawet nie będąc chrześcijanami.

Jednak w rozważaniach konkretne sytuacje, które są przywoływane, nie mają na celu wydawania osądu o poszczególnych osobach, lecz zapraszają do refleksji, do stawiania pytań i - jeśli to konieczne - także do zmiany. Przesłanie ma zasadniczo charakter religijny i chce wyrazić bliskość Jezusa Chrystusa, jako wcielonego Syna Bożego, wobec każdej osoby ludzkiej. Starałem się, aby Droga Krzyżowa w Koloseum była inspirowana Drogą Krzyżową, którą w każdy piątek przechodzimy wzdłuż Via Dolorosa, a zarazem czerpała z duchowości św. Franciszka, by pomóc wierzącym „iść śladami Jezusa”, a niewierzącym odkryć, że Jezusowi zależy na każdym z nas i że w Nim może znaleźć nadzieję oraz sens życia także ten, kto już je utracił.

Moim pragnieniem jest, aby spotykając Jezusa Chrystusa i idąc za Nim ku Kalwarii, każda osoba odczuła Jego bliskość i Jego miłość; aby dostrzegła, że Jezus Chrystus oddał życie za każdego z nas i pragnie prowadzić każdego z nas, by „po-

wrócić do Ojca” razem z Nim, odnaleźć pełnię życia dzięki Niemu i przeżywać ludzką kondycję - ograniczoną i śmiertelną - w perspektywie Paschy, Zmartwychwstania, życia wiecznego oraz udziału w samym życiu Boga.

Posługa ojca obejmowała w ciągu dziewięciu lat wydarzenia o wielkiej wadze: wojnę domową w Syrii, pandemię Covid, wojnę w Gazie. Teraz, po zakończeniu swojej misji, zdecydował się Ojciec pozostać - jako zwykły zakonnik - w Ziemi Świętej: na górze, z której Mojżesz mógł ją jedynie zobaczyć. Dlaczego wybrał Ojciec właśnie górę Nebo?

Dokładniej mówiąc, wyraziłem gotowość zamieszkania na Górze Nebo. Po wielu latach spędzonych na posługach związanych z władzą i zarządzaniem odczuwałem potrzebę powrotu do życia jako zwykły brat mniejszy. Życie w małej, nieco peryferyjnej wspólnocie pozwala mi odzyskać bardziej regularny rytm modlitwy, powrócić do studiów, służyć pielgrzymom oraz wykonywać proste, pokorne posługi. Poza tym Góra Nebo zawsze mnie fascynowała - zarówno dlatego, że jest związana z postacią św. Mojżesza, niezwykle bogatą duchowo, którą chciałbym jeszcze lepiej zgłębić, jak i dlatego, że przez wieki miejsce to było klasztorem i sanktuarium bizantyjskim, później pochłoniętym przez dzieje historii i popadłym w ruinę, aż wreszcie odrodzonym sto lat temu dzięki braciom z Kustodii Ziemi Świętej. To oni tutaj, w Jordanii, potrafili nawiązać przyjaźń z rodziną beduińską, która była właścicielem tego miejsca i która po sprzedaży terenu Kustodii w 1932 roku pozostała z nami we współpracy. Jest to miejsce spotkania dla wszystkich i ze wszystkimi, odwiedzane przez chrześcijan i muzułmanów, gdzie każdy może oddychać atmosferą wiary i pokoju, jaką ono przekazuje, i gdzie wszyscy mogą otrzymać „uzdrowienie ciała i duszy”, jak mówił pielgrzym z V wieku.

Chrześcijanie w Ziemi Świętej przeżywają codzienną drogę krzyżową, której coraz częściej skutkiem jest emigracja. Jak można być solą ziemi w takich warunkach?

Jest to bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Chrześcijanie żyjący dziś w Ziemi Świętej są bardzo podobni do chrześcijan pierwszego pokolenia - mają te same zalety i te same ograniczenia, a prawdopodobnie także to samo „DNA”. Jeśli jednak 2000 lat temu Jezus mówił do nielicznych uczniów: „Nie bój się, mała trzódka, gdyż spodobało się Ojcu waszemu objawić wam tajemnice Królestwa”, to dlatego, że już wtedy uczniowie byli statystycznie



W tym roku tradycyjną drogę krzyżową w Koloseum po raz pierwszy poprowadzi papież Leon XIV. Będzie niósł krzyż

nieistotni, a jednak odkryli prawdziwy sens życia - ten objawiony przez Jezusa w Kazaniu na Górze, którego szczytem są błogosławieństwa, przebaczenie nieprzyjaciółom i miłosierdzie; ten objawiony poprzez przyjęcie najmniejszych, kobiet, ubogich, chorých, ale także celników, grzeszników i prostytutek; ten objawiony w geście umywania nóg swoim uczniom, a następnie w oddaniu życia i zwycięstwie nad śmiercią dla nas. Bycie chrześcijaninem w Ziemi Świętej (ale także w każdym miejscu na świecie, gdzie chrześcijanie są nieliczni i/lub prześladowani) jest powołaniem i misją: jesteśmy wezwani, by ukazywać miłosierne oblicze Boga, który przyjmuje każdą osobę bez względu na płeć, narodowość czy religię; jesteśmy wezwani także w ten sposób - by objawiać godność dziecka Bożego, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, którą posiada każdy człowiek: także ten, kto należy do innego narodu, także ten, kto popełnił błędy, także ten, kto wyrządził mi krzywdę.

Religie jako narzędzie pokoju. A jednak wojny na Bliskim Wschodzie - inaczej niż w poprzednich dekadach - mają coraz częściej odniesienie reli-

gijne. Nawet Izrael, który powstał w świeckim kontekście o zachodnim charakterze, dziś zdaje się być pod wpływem fundamentalizmu o zabarwieniu mesjanistycznym. Co się stało?

Stało się to samo, co wydarzyło się także gdzie indziej - zwłaszcza po upadku muru berlińskiego: upadły świeckie ideologie, a ci, którzy sprawują władzę, zaczęli instrumentalizować religie, aby budować tożsamość i podziały. Można powiedzieć, że powrócili „zełoci”, którzy w czasach Jezusa usprawiedliwiali przemoc w imię Boga. Dziś „zełotów” można spotkać wszędzie: w świecie muzułmańskim - w postaci całej mozaiki uzbrojonych ruchów fundamentalistycznych; w świecie żydowskim - reprezentowanych choćby przez osadników i tych, którzy wspierają ich politycznie na poziomie lokalnym i międzynarodowym;

także wśród chrześcijan, którzy - niestety - potrafią wzywać do osobliwych „błogosławieństw”, idących w kierunku przeciwnym do tego, który wskazał w ostatnią niedzielę Leon XIV, a dwa tysiące lat temu Jezus w Getsemani; a nawet w wersji świeckiej - w lacyzmach państwowych, które w sposób dyskryminujący i prześladowczy ograniczają wyrażanie religii. To, co dzieje się w Izraelu, nie jest anomalią, lecz globalną tendencją. W tym kontekście Kościół ma do odegrania bardzo ważną rolę: ponownie zaproponować podstawowe zasady Ewangelii - oddać Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga. Trzeba więc „odsakralizować” i zeświecczyć władzę polityczną, a jednocześnie zagwarantować wolność religijną dla wszystkich. Trzeba odebrać grunt zarówno fundamentalizmowi religijnemu,

jak i politycznemu wykorzystaniu religii. Aby to osiągnąć, należy także przekonać przywódców religijnych wszystkich religii do współpracy w celu delegitymizacji wszelkiego używania religii do usprawiedliwiania przemocy. Zasady zawarte w Dokumentie o braterstwie ludzkim, podpisanym w Abu Zabi przez papieża Franciszka i wielkiego imama Al-Azhar, a następnie podjęte w encyklice Fratelli tutti, mogłyby być doskonałym punktem wyjścia dla swojej „ONZ religii”. Oczywiście konieczna jest także edukacja wiernych w tym duchu - choć trzeba mieć świadomość, że „zełoci” będą się temu zdecydowanie sprzeciwiać, powołując się przy tym na argumenty religijne.

Konflikt izraelsko-palestyński trwa już 80 lat. 95 procent dzisiejszych stron konfliktu nigdy nie zaznało pokoju. Zapytam bardzo prosto: czy pokój w Ziemi Świętej kiedykolwiek nadejdzie?

Prędzej czy później nadejdzie - nieuchronnie - ale droga do niego będzie jeszcze długa. Potrzebna będzie zmiana pokoleniowa, zmiana klasy politycznej (oby nie oznaczała przejścia z deszczu pod rynnę),

a przede wszystkim zmiana kulturowa. Dziś - niestety - brakuje prawdziwych proroków i ludzi z wizją, ale nie jest to problem wyłącznie Izraela i Palestyny czy Bliskiego Wschodu - to problem globalny. Istnieją jednak pozytywne znaki w społeczeństwie obywatelskim: mam na myśli ruch zapoczątkowany przez Izraelczyka Maoza Inona i Palestyńczyka Aziza Abu Sarah, a także inicjatywy takie jak „Matki chodzące boso dla pokoju” czy „Women of Faith for Peace” oraz wiele innych małych grup, które - miejmy nadzieję - będą się rozwijać. Nasze szkoły są również przykładem wychowania do współistnienia i braterstwa. Jak wielokrotnie powtarzałem w ostatnich latach, istnieje też odpowiedzialność polityczna: wprowadzenie do systemów edukacyjnych obowiązkowych programów uczących szacunku i otwartości na drugiego człowieka, zarządzania konfliktami oraz budowania pokoju - na wzór tego, co realizuje się w Rondine, „miasteczku pokoju” w prowincji Arezzo. Dotyczy to nie tylko Izraela i Palestyny, ale także krajów europejskich.

Wywiad pierwotnie ukazał się w Vatican News

TO, CO DZIEJE SIĘ W IZRAELU, NIE JEST ANOMALIĄ, LECZ GLOBALNĄ TENDENCJĄ. KOŚCIÓŁ PONOWNIE MUSI ZAPROPONOWAĆ PODSTAWOWE ZASADY EWANGELII

Jakim świętem dla Żydów jest święto Pesach?

To bardzo ważne święto. Opowiada nam o wyjściu z niewoli egipskiej i wyprowadzeniu ludu żydowskiego przez Mojżesza do Ziemi Obiecanej. Przypomina, że wyrwali się z niewolnictwa. W Egipcie byliśmy niewolnikami, wytwarzaliśmy cegły potrzebne faraonom do budowy piramid. Stał się wolnymi ludźmi we wspałym raju, w Ziemi Obiecanej.

Cóż oznacza sama nazwa Pesach?

Pesach to omijać, wyprowadzić. To eksodus.

Jak obchodzone jest to święto?

Pesach przypada w miesiącu nisan, między 14. a 21. dniem. To jest marzec albo kwiecień. W tym roku Pesach rozpoczyna się 1 kwietnia wieczorem, a kończy po ośmiu dniach. Wszystkie święta obchodzimy osiem dni - Chanukę, Purim.

Jak wygląda świętowanie?

Zanim zaczniemy świętować, musimy wysprzątać dom. Nie może być w nim zakwasu, tzw. chamecu. Zaglądamy w każdy kąt, w każdą szufladę, żeby nie było w nich żadnych okrucichów, bułki, chleba, itd. Po wysprzątaniu domu - wiadomo, coś może przeoczymy, zostanie - odmawiamy modlitwę. Dzięki niej uznajemy, że nawet jeśli czegoś nie zauważyliśmy, to tego nie ma. Pod synagogą następuje symboliczne spalanie tego chamecu. Z jednej strony to ważne z racji religii, z drugiej - mobilizuje do sprzątnięcia domu.

To zupełnie jak katolicy czy prawosławni. Przed Wielkanocą też robią porządki i myją okna.

Dokładnie. My tylko dodatkowo pozbywamy się chleba, ryżu, makaronu. Oczywiście, nie wyrzucamy tego - byłoby szkoda, kupiliśmy przecież to - ale pakujemy do pudełka. Zamykamy, zaklejamy i przez osiem dni nie ruszamy.

Jak w czasie święta wyglądają wasze posiłki?

Przez osiem dni w ogóle nie jemy chleba, makaronu i ryżu. Jemy macę, ponieważ maca nie zawiera zakwasu - to tylko woda z mąką. Inne posiłki oczywiście możemy spożywać, ale nie mogą one zawierać zakwasu. Np. ciasto pieczemy z mąki macowej, która powstaje z mielonej macy. Z alkoholi nie można pić wódki, ale można pić śliwownicę lub wino winogronowe. Mamy też specjalne naczynia czy garnki, których używamy tylko na święto Pesach. Rozpakowujemy je, otwieramy i używamy przez osiem dni. Po ośmiu dniach znowu je pakujemy i czekają cały rok. W święcie

najważniejszy jest seder - kolacja sederowa. Pojawiają się na niej specjalne potrawy. Każdy z uczestników ma cztery mace położone jedna na drugiej i kielich na wino. Pośrodku stołu stoją tzw. gorzkie zioła - to np. chrzan czy pietruszka. Jest barani udziec, a jak ktoś nie ma baraniego udźca - może być pieczone skrzydełko. Jest jajko, czyli bejca. No i charoset, czyli słodka potrawa z jabłek, pokrojonych migdałów, orzechów i wina. Ma przypominać nam glinę, z której Żydzi w Egipcie robili cegły. Wzносimy toast za to, że jesteśmy wolni, wyszliśmy z niewoli. Kiedy jemy gorzkie zioła i bejcę, maczamy je w słonej wodzie. Słona woda przypomina nam łzy i pot, które Żydzi wylewali pracując ciężko w niewoli. Czytamy tzw. Hagadę - opowieść o wyjściu z niewoli egipskiej. Później są rytuały. Świętowanie bardzo często kończy się długo po północy. W międzyczasie najmłodszy uczestnik sederu zadaje ojcu cztery pytania, np. dlaczego jemy gorzkie zioła, dlaczego maczamy w słonej wodzie, dlaczego jemy macę, itd. Chowa się też kawałek macy - afikoman, za znalezienie którego dostaje się nagrodę.

Słowem - święto bardzo radosne.

Kiedy miną wszystkie rytuały, jemy. Kto je mięso, je mięso. Kto rybę, ten je rybę. Oczywiście do tego są ziemniaki, by nie było zakwasu. Jeszcze jedno - te dni obchodzimy jak szabat. Nie rozpalamy ognia, nie chodzimy na cmentarz. Mamy specjalne płytki, podłączane do prądu, które utrzymują temperaturę, by podgrzewać posiłki.

W Izraelu jest jeden dzień wieczornego świętowania, poza Izraelem - dwa. Dlaczego?

Kiedyś o święcie zawiadamiali kurierzy - biegli i ogłaszali

PESACH, CZYLI ŻYDOWSKA WIELKANOC

W tym samym czasie, co katolicy Wielkanoc, Żydzi obchodzą Święto Pesach (Paschy). W tym roku trwa od 1 do 9 kwietnia. To jedno z najważniejszych świąt w judaizmie, podczas którego np. nie spożywa się kwaszonego chleba, a je macę. Rozmawiamy z Lucy Lisowską, przedstawicielką Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie na Białystok i Podlasie

Andrzej Kłopotowski



FOT. W. WOJTKIEWICZ

W czasie święta Pesach w ogóle nie jemy chleba, makaronu i ryżu. Przez osiem dni jemy macę, ponieważ maca nie zawiera zakwasu. Nawet ciasto pieczemy z mąki macowej, która powstaje z mielonej macy - mówi Lucy Lisowska, przedstawicielka Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie na Białystok i Podlasie. - Mamy też specjalne naczynia i garnki, których używamy tylko na święto Pesach

kiedy zaczyna się Pesach, kiedy jest Seder. Potrzeba na to czasu, dlatego w diasporze - gdzie jesteśmy rozproszeni - obchodzimy przez dwa dni, żeby wiadomość dotarła do każdego.

Jak wyglądało to święto w Białymstoku międzywojennym? W tym wielonarodowym i wieloreligijnym tygł.

Wyglądało tak naprawdę tak samo. Przez wieki nic się nie zmieniło. To jest tradycja, która

trwa. Jedyne, co się zmieniło, to to, że przed wojną były synagogi, były domy modlitwy, gdzie Żydzi mieli swoje pomieszczenia, gdzie mogli razem świętować.

Czy dochodziło do odwiedzin? Czy np. katolicy odwiedzali podczas świąt żydowskich sąsiadów?

Raczej było to zamknięte świętowanie, w gronie rodziny. Dziś jest trochę inaczej. Np. na świętowanie do Warszawy zapra-

szalam koleżanki innych wyznań.

Jak świętujecie w Białymstoku?

Swego czasu np. rabin Stambler zorganizował nam święto Pesach w hotelu Esperanto. Był wtedy jeden z wiceprezydentów z małżonką. Obecnie świętujemy w domach prywatnych, gdzie zapraszamy kilka osób. Nie możemy wspólnie obchodzić święta, bo nie mamy takiego miejsca w mieście. Pytamy - dlaczego? Kiedy przyjeżdżają do nas goście z zagranicy, są zaskoczeni. Chcą się z nami np. wspólnie pomodlić, ale nie mamy gdzie. Pytają - nie macie w Białymstoku swojego miejsca? Nie-Żydzi takie miejsce mają, a Żydzi nie mają... Nie możemy tego zrozumieć. Niestety... Mówi się, że w Białymstoku przed wojną

byli Żydzi, a zapomina się o nas tu i teraz. Najlepiej, żeby nas nie było. Wtedy można mówić, że dbamy o przeszłość, o tradycje żydowskie.

Ilu Żydów mieszka obecnie w Białymstoku?

Nie mogę tego powiedzieć, bo nie wiem. Gdybyśmy mieli swoje miejsce, pomieszczenie, ludzie z pewnością by się zgłaszali. Grupa by się nazbierała. Wracając do świętowania, Gmina Wyznaniowa Żydowska z Warszawy przygotowała i wysłała już do Białegostoku paczkę z produktami na Pesach (rozmawiamy w ostatnich dniach marca - przyp. red.). Będą w niej wino z winogron, sok jabłkowy, maca na seder. Jestem za to wdzięczna.

W marcu Episkopat przygotował list, w którym wspomina wizytę Jana Pawła II sprzed 40 lat w rzymskiej synagodze. Nie wszyscy księża go odczytali. Jak to można skomentować?

Papież mówił, że jesteśmy starsi bracia w wierze. Nie rozumiem postawy niektórych księży. Nie rozumiem, przecież w liście nie było niczego złego.

W liście pojawia się zachęta, by odwiedzić synagogę. W Białymstoku nie mamy funkcjonującej synagogi. Co mogą zrobić ci, którzy chcieliby odpowiedzieć na wezwanie Episkopatu? Powinni np. odwiedzić dawną synagogę przy Waryńskiego? Wybrać się na Szlak Dziedzictwa Żydowskiego?

Proszę, by ci, którzy chcą nas wspierać, zapytali władze, dlaczego dziś Żydzi w Białymstoku nie mogą mieć własnego miejsca, własnego pomieszczenia? Gdybyśmy je mieli, mielibyśmy możliwość spotkania się, podtrzymywania tradycji, organizowania życia religijnego. Moglibyśmy też zapraszać do siebie gości i społeczność Białegostoku.

PESACH OPowiada o WYJŚCIU Z NIEWOLI EGIPSKIEJ I WYPROWADZENIU LUDU ŻYDOWSKIEGO PRZEZ MOJŻESZA DO ZIEMI OBIECANEJ



FOT. BARTOSZ SADOWSKI

Monika Kuszyńska dwadzieścia lat temu uległa ciężkiemu wypadkowi. Po długiej rehabilitacji, dzięki determinacji, odwadze, muzyce i miłości odzyskała swoje życie i należy do najbardziej inspirujących artystek na naszej scenie

ODRODZENIE ZACZYNA SIĘ OD POKOCHANIA. SIEBIE I DRUGIEJ OSOBY

Historia jednej z najbardziej życzliwych świata polskich wokalistek pokazuje, że muzyka, miłość, determinacja i bliskość mogą wydzwignąć z najczarniejszej rozpacz

Dariusz Pawłowski

Nie jest odkrywczą prawdą, iż życie wywraca do góry nogami jedną, niezapowiedzianą chwilą, lecz biografie wielu osób nieustannie niosą tegoż potwierdzenie. Ważne jest jednak to, co wydarzy się potem. Ile wysiłku i determinacji potrafimy włożyć w to, by cierpienie nie stało się zamknięciem.

Dwadzieścia lat temu, 28 maja 2006 roku, łódzki zespół Varius Manx, wówczas jeden z najpopularniejszych w Polsce, w deszczową niedzielę rano wracał z sobotniego koncertu w Miliczu. Auto prowadził lider formacji Robert Janson, razem z nim podróżowali wokalistka grupy Monika Kuszyńska oraz gitarzysta i realizator dźwięku. W pewnym momencie samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i po dachowa-

niu uderzył w drzewo. Ciężko ranną Monikę Kuszyńską przewieziono do szpitala na oddział neurochirurgii. Artystka przeszła skomplikowaną, 6-godzinną operację kręgosłupa (operowano także Roberta Jansona). Jednak w wyniku przerwania rdzenia kręgowego nastąpił paraliż dolnych partii ciała i od tego czasu Monika Kuszyńska porusza się na wózku inwalidzkim. Po długiej rehabilitacji wróciła do życia publicznego, występowała w mediach, zrobiła wiele, by zainspirować innych do walki o siebie i swoją przyszłość. Po trzech latach od wypadku znów zaczęła śpiewać.

Monika Kuszyńska nie kryła, że pierwsze miesiące po wypadku były dla niej traumatyczne, nie mogła pogodzić się ze swoim stanem. Gdy usiadła

na wózku, lękała się opuszczać dom, miała obawy, że ludzie na ulicy będą ją obserwować, komentować jej sytuację. Trudno nawet wyobrazić sobie, co musiała przejść, jaką drogę pokonać, by odnaleźć w sobie siłę na odrodzenie. Teraz może sobie pozwolić na to, by nie wracać myślami do przeszłości.

Monika Kuszyńska urodziła się w Łodzi i zawsze czuła silny związek z tym miastem. Wychowała się w blokowisku przy ulicy Hibnera (obecnie Waryńskiego) na Kozinach. Ukończyła XXI Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Prusa, a następnie uzyskała tytuł magistra sztuki (specjalizacja: muzykoterapeuta) łódzkiej Akademii Muzycznej. Ma młodszą o pięć lat siostrę, Martę, absolwentkę łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych i psycholożkę, która jest

cenioną projektantką mody (pod własną marką), ale tworzy też biżuterię z kamieni.

Monika Kuszyńska debiutowała w dziecięcym zespole Uśmiech Pana Karola, w liceum udzielała się w szkolnym chórze i teatrze, brała udział w konkursach recytatorskich, ale profesjonalną karierę zaczęła jako wokalistka zespołu Fahrenheit. Pod koniec 2000 roku została wokalistką Varius Manx, zaczęła pisać teksty piosenek. Nagrała z Variusami albumy „Eta”, „Eno”, „Emi”. Wspólnie z piosenką „Moje Eldorado” zdobyli pierwszą nagrodę w finale Festiwalu Piosenki Krajów Nadbałtyckich w Karlshamn.

Aż...

Po wypadku do nagrania nowej piosenki namówiła ją w roku 2009 wokalistka Beata Bednarz, na której albumie „Pa-

sja miłości” znalazł się napisany i wykonany przez Monikę Kuszyńską utwór „Nowa rodzę się” z budującymi słowami: „Jak dobrze jest, wolnym od lęku budzić się, i wiedzieć, że ból odejdzie, spokój w sobie mieć”.

Pierwszy krok został zrobiony, od tego momentu nie brakowało wydarzeń symbolicznych. W 2010 roku Monika Kuszyńska wystąpiła po raz pierwszy od wypadku publicznie w telewizji - śpiewając w programie „Dzień dobry TVN”. W tym samym roku była jurorką podczas 6. Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Krakowie, a we wrześniu w ramach Europejskiego Festiwalu Filmowego „Integracja Ty i Ja” w Koszalinie zagrała pierwszy koncert po wypadku.

Okazało się, że fani czekali, muzyka pozostała spełnieniem. W czerwcu 2012 roku wystąpiła z piosenką „Ocaleni”, nagrałą z łódzkim chórem z telewizyjnego programu „Bitwa na głosy”, w konkursie „Premiery” podczas 49. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, a dziesięć dni później wydała pierwszy, solowy album studyjny zatytułowany „Ocalona”. Dwa lata później kolejną przejmującą chwilą - artystka wystąpiła podczas 51. KFPP w Opolu, w którego trakcie zaśpiewała utwór „Moja i twoja nadzieja” w ramach koncertu pod hasłem „25 lat! Wolność - kocham i rozumiem”. Nadzieja nie tylko wróciła, ale „uczyniła realnym krok w chmurach”.

W roku 2015 była reprezentantką Polski w 60. Konkursie Piosenki Eurowizji w Wiedniu. W tym samym roku ukazała się autobiograficzna książka Moniki Kuszyńskiej „Drugie życie” - wywiad rzeka przeprowadzony przez Katarzynę Przybyszewską. Rozpoczęły się kolejne nagrania, występy, liczne akcje charytatywne i kampanie społeczne, telewizyjny cykl przedstawiający inspirujące historie ludzi, wyjątkowe projekty. Artystka była też mentorką w programie typu talent show TTV - „Usłyszcie nas!”.

W kwietniu 2018 roku wokalistka wróciła do Milicza, po dwunastu latach od wypadku. „Tu skończyło się moje pierwsze życie” - powiedziała ze sceny. W tym momencie Monika Kuszyńska w pełni budowała już swoje drugie życie.

W tym miejscu pojawia się jeszcze jedna myśl wypowiedziana wiele razy, a przez to tak piękna i niezmiennie prawdziwa. O miłości, która nas zmienia, tworzy, obdarowuje mocą i sensem. Uznajmy, że najważniejszą jest, cierpliwą jest, łaskawą jest... nie szuka poklasku, nie unosi się pychą... wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma... i tak dalej.

W lipcu 2011 roku Monika Kuszyńska poślubiła ukochałego mężczyznę, ale i wielkie-

go przyjaciela - znakomitego, niezwykle wrażliwego saksofonistę, kompozytora i aranżera Jakuba Raczyńskiego. Małżonkowie zamieszkali w Tuszynie pod Łodzią, mają dwoje dzieci: 9-letniego dziś Jeremiego oraz 7-letnią Kalinę.

Poznali się jeszcze w zespole Varius Manx - Jakub Raczyński dołączył do grupy w 2001 roku, ale po czterech latach odszedł. „Widziałam w nim świetnego muzyka, saksofonistę, fajnego, wesołego kolegę... i tyle” - wspominała ten czas Monika Kuszyńska.

Po wypadku Kuba próbował skontaktować się z Moniką. Nie udało się, jej telefon milczał, artystka mieszkała wtedy w Białymstoku-Białej. „Po raz drugi pojawił się w moim życiu niecałe dwa lata po wypadku. Kiedy stanął w drzwiach 14 stycznia, w moje urodziny, z naręczem żółtych tulipanów, poczułam wiosnę w środku zimy” - powiedziała wokalistka w jednym z wywiadów.

„Dzięki Kubie odzyskałam kobiecość” - wyznała Monika. Razem zaś pozyskali własną muzykę i plany na resztę życia. Wspólnie napisali piosenkę „In the Name of Love”, którą Monika śpiewała w Konkursie Eurowizji, razem przygotowali album „Ocalona”. Mają mnóstwo pomysłów.

Czas po wypadku Monika Kuszyńska wspomina obecnie jako okres smutku i beznadziei. „Nie wierzyłam, że z tego wyjdę, nie potrafiłam patrzeć w lustro, nie wyobrażałam sobie powrotu na scenę, byłam przekonana, że wypadek i wózek odebrały mi kobiecość, urodę, szansę na dobre życie, macierzyństwo” - powtarza pytana o odczucia w tamtych dniach. Czarne myśli, które oplatają niejednego człowieka - ba, także o znacznie mniej dojmujących doświadczeniach.

Tymczasem dziś opowieść Moniki Kuszyńskiej to emocje szczęśliwej, spełnionej kobiety, artystki, poszukującej nowych wyzwań, form twórczej wypowiedzi. To osiągnięcie jest nie tylko jej ogromnym, osobistym sukcesem, ale również wielkim darem dla wszystkich pograżonych w ciemności. Odrodzenie jest możliwe, trzeba dać sobie tę możliwość. Przyjąć wsparcie, które na tej drodze jest nam oferowane, by następnie oddać je kolejnym potrzebującym. Że banałem to podszyte? No jak owe prawdy życia największe.

Monika Kuszyńska regularnie koncertuje i pracuje obecnie nad nowymi piosenkami. Kuba Raczyński natomiast ogłosił, że cała rodzinna czwórka przeprowadziła się do Warszawy. Cóż, są muzykami, nie tylko z pasji - to także, a może przede wszystkim, ich praca. Stolica w tej branży to większe możliwości. I tę decyzję uznajmy za początek „trzeciego życia”, nowego etapu w tej mobilizującej historii.

PRZYJAŹŃ W CZASACH POGONI ZA SUKCESEM

O tym, jak ważna jest przyjaźń, nie trzeba nikogo przekonywać. Antoine de Saint-Exupéry napisał kiedyś: „Przyjaciele są jak ciche anioły, które podnoszą nas, kiedy nasze skrzydła zapominają, jak latać”. Tyle, że w dzisiaj coraz trudniej o bezinteresownych przyjaciół

Dorota Kowalska

Aśka: szczupła i wysoka. Ewa: niska, trochę przy kości. Na pierwszy rzut oka - przeciwieństwa. Obie przekroczyły pięćdziesiątkę, przyjaźnią się od ponad 40 lat.

- To była druga klasa szkoły podstawowej, pamiętasz? - to Aśka.

- Pamiętam! - Ewa wybucha śmiechem.

Ich rodzice dostali właśnie upragnione mieszkania w bloku z wielkiej płyty, wprowadzili się do nich tuż przed komunią Aśki i Ewy. To był właściwie jeszcze plac budowy, bloki, a między nimi błoto. Ludzie poukładali na nim deski, żeby móc chodzić po osiedlu. Ewa z rodzicami mieszkała pod jedyką, Aśka ze swoją rodziną pod dwójką. Dwa trochę różne domy. Mama Ewy była kierowniczką sklepu mięsnego, w czasach komuny nie można było marzyć o lepszej posiadzie, tata szefował jednemu z wydziałów w pobliskiej hucie.

W domu Ewy niczego nie brakowało. W wielkiej wazie na stole zawsze leżały pomarańcze i banany. U Aśki cytrusy pojawiały się w święta. Jej rodzice ciężko pracowali, ale nie należeli do peerelowskich elit. Dziewczyny poznały się na trzepaku przed blokiem, kiedy w końcu tam stanął i dość szybko znalazły ze sobą wspólny język.

- Ja zawsze chodziłam z kluczem na szyi. Z wami mieszkała babcia, która dbała o dom. Kochana babcia Stefa! - wspomina Aśka.

- Tak i z czasem zaczęła mówić: „Biegnij po Asię, niech przyjdzie na zupę, jej rodzice wrócą przecież dopiero po 16”. No i zaczęłaś u nas jadać babcine zupy - dorzuca Ewa.

Chodziły do dwóch różnych szkół, ale razem odrabiały lekcje, razem biegały po podwórku. Z czasem zaczęły się sobie zwierzać, opowiadając o pierwszych randkach, chło-



Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda dowiedli, że bliskie relacje są ściśle powiązane ze zdrowiem. Ludzie, którzy utrzymywali głębokie i wspierające więzi, deklarowali wyższy poziom szczęścia

pakach, problemach w szkole. Ewa poszła do technikum, Aśka do liceum. Wciąż były sobie bardzo bliskie, chociaż każda miała też swoje poza osiedlowe towarzystwo.

- Ale nasza przyjaźń była ostoją zarówno dla mnie jak dla ciebie. Cokolwiek się w naszym życiu działo, zawsze miałyśmy siebie, mogłyśmy pogadać, pośmiać się, czasami pożałować, spytać jedna drugą o radę - mówi Ewa. Aśka potakuje.

Potem ich drogi na jakiś czas się rozeszły. Aśka wyje-

chała na studia do innego miasta. Wróciła po kilku latach, Ewa zdążyła w tym czasie założyć rodzinę, miała męża i małą dziewczynkę. Aśka kilka lat później też wyszła za mąż, Ewa ze swoim mężem byli świadkami na jej ślubie.

- Nasi mężowie, obaj na imię mają Andrzej, polubili się, zaczęliśmy spędzać coraz więcej czasu razem - wtrąca Ewa. Wspólne wypadki na weekendy, wspólne wieczory. Szybko okazało się, że lubią te same rzeczy: ciszę, spokój, tro-

chę wody w pobliżu, żeby panowie mogli łowić ryby. Wczorzym ogniska.

Ewa prowadziła wtedy własny biznes: mieli z mężem wielki sklep spożywczy, kupili dom na kredyt, Aśka pracowała na państwowej posiadzie, podobnie jak jej mąż. To były lata 90., transformacja. W Polsce pojawiły się wielkie hipermarkety, biznes Ewy podupadał. W końcu musieli ogłosić bankructwo, bank zabrał im dom. To był dla nich niezwykle trudny czas.

- Nie mieliście na chleb i od nikogo nie chcieliście pożyczyć pieniędzy - nawet dzisiaj denerwuje się Aśka.

- Dlaczego przyjeżdżałaś do nas z Andrzejem, a po drodze robiliście zakupy na cały tydzień. Bez słowa wchodziłaś, otwierałaś lodówkę i ją zapełniałaś. A potem siadałyśmy, jakby nigdy nic i gadałyśmy o pierdołach. Nigdy ci tego nie zapomnę - to Ewa.

Wyszli z kłopotów. Dzisiaj dzieci Ewa i Aśki są dorosłe, one prowadzą spokojne życie:

Ewa ma wnuki, Aśka na nie czeka. Wciąż się spotykają, co drugi dzień do siebie dzwonią, zawsze mają tematy do rozmów.

Czym jest dla nich przyjaźń?

- Wiem, że mogę do Ewy zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Wiem, że mi pomoże. Wiem, że zawsze powie mi prawdę. Nawet, jeśli mnie ona zaboli. Mogę jej powiedzieć wszystko. Nie będzie mnie oceniać, wysłucha i powie, co myśli. Poradzi, pocieszy, a jeśli trzeba kopnie w tyłek - mówi Aśka.

- Rozumiemy się bez słów. Nawet „dziękuję” już sobie nie mówimy, bo przyjaciele ponoć sobie nie dziękują. Przeżyłyśmy razem różne chwile: ciężkie i radosne, zawsze mogłyśmy na siebie liczyć - dodaje Ewa.

Filary przyjaźni

Jedną z najczęściej przyjmowanych definicji przyjaźni jest ta Michaela Argyle'a, jednego z najbardziej znanych angielskich psychologów społecznych XX wieku, który mówi o zaufaniu, wsparciu, sympatii, równorzędności oraz dobrowolności partnerów, jako kluczowych elementach więzi o charakterze przyjaźni. Przyjaciółmi są ludzie, których lubimy, którym wierzymy i z których towarzystwa jesteśmy zadowoleni. Nie należą do rodziny, ale mamy z nimi wiele wspólnego, łączy nas mocna więź.

Argyle, razem z Moniką Henderson, z którą często prowadził badania, podaje też sześć filarów przyjaźni. Pierwszy, to dobrowolne wsparcie w potrzebie. Jak to mówią „prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie”. Nie chodzi nawet o to, żeby przyjaciel był przy nas na każde zawołanie, ale o świadomość, że gdy naprawdę będziemy w potrzebie, możemy na tę osobę po prostu liczyć. Dalej: wzajemne zaufanie. Bez niego trudno o jakąkolwiek relację, a co dopiero o przyjaźń. Przy-

jacielowi trzeba wierzyć, przyjaciel dochowa tajemnicy. Trzeci filar: werbalne i niewerbalne okazywanie wsparcia. Coś, czego potrzebujemy na co dzień. I nie chodzi tylko o słowa, ale i gesty: dotyk, życzliwych uśmiech, przytulenie. Kolejna rzecz: satysfakcjonujące dla obu stron komunikowanie się. Z przyjacielem powinniśmy rozmawiać bez skrępowania, nie bojąc się przy tym, że zacznie nas oceniać. Piąty filar: obrona interesów przyjaciela pod jego nieobecność. Bronimy go w każdych okolicznościach, także wtedy, kiedy go nie ma, a ktoś wypowiada się o nim źle. I ostatnia sprawa: dzielenie się z przyjacielem swoim szczęściem i sukcesami. Cieszenie się razem z nim, kiedy osiągnął cel, zdobył coś, na co ciężko pracował.

Ci sami badacze wskazują na zestaw niepisanych zasad, których przestrzeganie decyduje o sile przyjaźni. To lojalność i wsparcie, poufność i zaufanie, szacunek dla prywatności, równość i wymiana, czyli zasada wzajemności - chęć pożyczania rzeczy, dzielenie się czasem i emocjami, dalej - pozytywne zachowania: niebycie złośliwym, unikanie krytyki w obecności osób trzecich, akceptacja wad przyjaciela, wreszcie pamięć i kontakt - tu tłumaczyć niczego nie trzeba.

Jak wielu możemy mieć przyjaciół? To pewnie sprawa bardzo indywidualna, ale Robin Dunbar, brytyjski antropolog i biolog, stworzył słynną teorię, która mówi, że każdy z nas jest w stanie utrzymać 150 stabilnych relacji społecznych, ale w najbardziej intymnym kręgu emocjonalnym znajduje się tylko od trzech do pięciu osób. Ci ludzie zapewniają nam bezpieczną przestrzeń, w której możemy dzielić się radością, lękiem i codziennymi troskami.

- W zbiorze 150 naszych przyjaciół mamy tak zwane kręgi, czyli pięć najbliższych nam osób, kilkanaście dalszych, niespokrewnionych, jeszcze więcej „po prostu znajomych”. Najbliższe osoby wybieramy sobie sami, dalszych kolegów i znajomych, poznajemy często przypadkiem, idąc do określonych szkół, bądź na studia - mówiła w radiowej Czwórce dr Magdalena Babiszewska, antropolog i biolog ewolucyjna, i jak tłumaczyła, przyjaźń nie jest relacją zarezerwowaną wyłącznie dla ludzi. Przyjaźnią się też zwierzęta: słonie, konie, czy delfiny.

Lojalność i szczerłość

Julia, 27 lat, wciąż zabiegana, bo praca, bo pasje, bo znajomi.

- Wydają mi się, że nie ma uniwersalnej definicji przyjaźni. Ona dla każdej osoby może być czymś innym, bo je-

steśmy różni: mamy różne charaktery, wyznajemy różne wartości, zależy nam na różnych rzeczach. To właśnie te osobiste cechy i wartości, którymi kierujemy się w życiu decydują o tym, czy między tobą a daną osobą coś kliknie i zaczniecie być dla siebie bliscy - tak uważa.

Czasami, jak mówi, przypadkiem możemy spotkać osobę, która zostanie z nami na lata. Nie ma też jednego sposobu, żeby przyjaźń trwała całe życie. Dla niej to relacja, która „kształtuje się w czasie”.

- Cenię sobie w każdej relacji, a szczególnie w przyjaźni, szczerłość, ale także lojalność. To, że mogę powiedzieć przyjacielowi, co mi leży na sercu, nawet jeśli nie będzie to najprzyjemniejsza rzecz, że mogę się zwierzyć ze swoich sekretów i nie bać się, że zostaną przez tę osobę skreślone. Jeśli jest się z sobą szczerym, to pojawiają się problemy czy przeszkody, które w każdej relacji się przecież zdarzają, nic nie zmieniają - mówi.

I tłumaczy, że wystarczy ze sobą porozmawiać, starać się zrozumieć drugą osobę. Można być od siebie zupełnie różnym, ale szczerłość i komunikatywność sprawiają, że taka relacja trwa i staje się mocniejsza. W końcu nie jesteśmy wszyscy klonami - mamy swoje własne emocje, uczucia czy doświadczenia, które determinują to, kim jesteśmy. Dlatego musimy być dla siebie wyrozumiali.

Na przyjaciółach może polegać. Wie, że jeśli ma gorszy czas będą przy niej - nie zawsze fizycznie, ale odbiorą telefon albo po prostu napiszą wiadomość: „Hej, pamiętaj, że jestem. Jeśli czegoś potrzebujesz, daj znać”. Pomimo że każda przyjaźń jest inna, wydaje jej się, że taką uniwersalną cechą, bez której nie uda się zbudować trwałej relacji, jest obustronność. To dwóm osobom (czy większej liczbie, jeśli mówimy o grupie przyjaciół) musi zależeć, żeby ona trwała. Jeśli tylko jedna osoba pielęgnuje relację, prędzej czy później ta się skończy.

- To naturalne, że ciekawi mnie, co dzieje się w życiu mojej przyjaciółki czy przyjaciela, chcę z nimi rozmawiać, spędzać czas czy wyjeżdżać na wakacje. Ta obustronność jest szczególnie ważna, bo jesteśmy przecież na różnych etapach życia, pojawiają się nowe obowiązki i czasami niezalenie czasu na częste spotykaniu się nie jest tak proste jak

wcześniej. W końcu przyjaźń, tak samo jak każda relacja, jest zmienna - rozwija się, ewoluje. Jeśli obydwu osobom zależy, nie ważne co by się działo, przetrwa - tak to widzi.

Jej grupa przyjaciół poznała się w różnych momentach i przy różnych okazjach. Ze swoją najlepszą przyjaciółką, Izą, znają się prawie 20 lat. Chodziły do tej samej klasy - najpierw w podstawówce, potem w gimnazjum. Z czasem ich dwupak, jak to określa, rozrastał się o kolejne osoby, które poznały na swojej drodze. Jest ich dziesiątka, przyjaciół na dobre i złe. Chociaż oczywiście, więź z Izą jest najmocniejsza. Pomimo że każdy z nich pracuje, starają się spotykać całą ekipą co dwa, trzy tygodnie, wyjeżdżają też razem na majówkę i wakacje. Choć nie rozmawiają ze sobą codziennie, wiedzą, że może polegać na każdej osobie z ich paczki.

Dla zainteresowanych: niedawne badania przeprowadzone na Uniwersytecie w Kansas wykazały, że potrzeba około 50 godzin spotkań towarzyskich, aby przejść od etapu znajomości do koleżeństwa. Dodatkowe 40 godzin potrzeba, aby stać się „prawdziwym” przyjacielem, i łącznie 200 godzin, aby stać się bliskim przyjacielem.

Ważny jak przyjaciel

W erze samotności, pogoni za sukcesem, bo tak socjologowie mówią o naszych czasach, o prawdziwego przyjaciela wcale nie jest łatwo. Dane CBOS pokazują, że dorosły Polak najczęściej wskazuje na dwie osoby, które mogą udzielić mu wsparcia w trudnych chwilach. Jedną czwartą badanych ma tylko jedną taką osobę. Tyle samo respondentów deklaruje, że mają dwie bliskie osoby. Co trzeci Polak może liczyć na pomoc trzech lub czterech osób, a co dziesiąty na wsparcie od pięciu do dziesięciu. Tylko 1 proc. badanych ma więcej niż dziesięć osób, na których może polegać.

Z kolei przeciętny Amerykanin ufa zaledwie 10-20 osobom, ale te dane wciąż się zmieniają. Na przestrzeni lat spada liczba tych, którym chcemy, czy możemy się zwierzyć. I tak, nawet jedna na pięć osób w krajach wysoko rozwiniętych nie ma nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się z prośbą o pomoc.

Tymczasem relacje międzyludzkie, a zwłaszcza przyjaźń

KAŻDY JEST W STANIE UTRZYMAĆ 150 STABILNYCH RELACJI SPOŁECZNYCH. W NAJBARDZIEJ INTYMNYM KRĘGU EMOCJONALNYM ZNAJDUJE SIĘ OD TRZECH DO PIĘCIU OSÓB

są ważne dla każdego z nas. Badaczka z brytyjskiej uczelni King's College London przeprowadziła eksperyment z udziałem kilku osób i ich najlepszych przyjaciół. Na początku jeden z uczestników badania miał podrażniane palce laserem. Poziom odczuwanego przez tę osobę bólu był rejestrowany w badaniu EEG (zapis pracy mózgu). Uczestnik eksperymentu starał się także sam opisywać ból, który odczuwał. Podczas całego procesu przebywał w sali zupełnie sam. Następnie eksperyment powtórzono w obecności przyjaciela tej osoby. Przyjaciel po prostu przy niej był, prowadził z nią rozmowę. Okazało się, że zapis EEG pokazał, że tym razem odczuwany ból był o wiele mniejszy, niż za pierwszym razem! Samopoczucie badanej osoby również znacznie się polepszyło. Powtórzono eksperyment na innych osobach. Odbywało się to na tej samej zasadzie: za każdym razem wnioski były zbliżone.

Obecność przyjaciela ma ogromne znaczenie w życiu każdego człowieka, ale też każdy z nas potrzebuje przecież rozmowy i zrozumienia.

Badania pokazują, że gdy bliscy otaczają nas troską i wsparciem, żyjemy dłużej, rzadziej zapadamy na choroby przewlekłe i lepiej radzimy sobie ze stresem. Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda prowadzili badania przez 75 lat. Dowiedli w nich, że bliskie relacje są ściśle powiązane ze zdrowiem. Ludzie, którzy utrzymywali głębokie i wspierające więzi, deklarowali wyższy poziom szczęścia. Rządziej też zapadali na choroby serca i depresję.

Ci samotni częściej skarżą się na zaburzenia nastroju i stany lękowe, mają kłopoty z układem odpornościowym, szybciej się starzeją.

- Poczucie wspólnotowości jest jednym z najważniejszych czynników związanych z naszym poczuciem szczęśliwości. Poczucie, że żyjemy wśród ludzi, którzy są nam życzliwi. To nie chodzi o posiadanie rodziny, tylko i wyłącznie albo głównie, chodzi bardziej o bycie w jakiejś wspólnotie. Wspólnotie, która sprawia, że możemy usiąść z kimś na ławce, porozmawiać, spotkać się na herbatkę z sąsiadką, z inną pójść na spacer, to są bardziej społeczności sąsiedzkie. Oczywiście rodzina ma tutaj znaczenie, ale najbardziej z długim, zdrowym i szczęśliwym życiem korelują

relacje społeczne - mówi psycholog Maria Rotkiel.

Andrzej, 68-lat, wciąż czynny zawodowo. Znany ze swojego dość sceptycznego podejścia do życia, niektórzy mówią o nim: cynik, w każdym razie trzyma dystans do siebie i świata.

On opowiada tak: „Pani mnie pyta, z czym kojarzy mi się „przyjaźń”. Automatycznie, naprawdę - nie zmyślam - kojarzę to słowo z rurociągiem „Przyjaźń”, po rusku „Družba”. I jeszcze z tekstem bluesa Tacka Nalepy „Zasady gry”. W nim jest taka fraza: „dzisiaj przyjaźń ma gorzałki moc”. Coś w tym jest. Nie brakuje ludzi, którzy uważają, że jak już z kimś piją wódkę, to jest to ewidentny znak tego, co - w ich rozumieniu - określa się mianem „przyjaźni”. I coś w tym też jest, bo przecież są tacy, którzy za żadne skarby wódki z tym czy innym się nie napiją. Tradycja mówi jasno: porządny człowiek z wrogiem wódki pić nie będzie. Ja wódkę rzadko piję, a jak już, to nie z wrogami.

Nie chcę się wymądrzać, ale co mi tam, trochę zmienię cytowaną frazę: „dzisiaj przyjaźń ma straconą moc”. Nie twierdzą, że nie istnieje. Twierdzą, że została przedefiniowana przez współczesność, przez interesowność, przez „żądę pieniądza”. Cokolwiek by to znaczyło.

W czasach Polski Ludowej nie tęsknię za nimi, choć jestem z tamtego pokolenia - w narodzie było więcej przyjaźni niż znajomości. Jak się komuś powinęła noga, to nie było to równoznaczne z tym, że wylatywał z przyjacielskiego kręgu. Dziś ludzie klepią się po plecach, piją wódkę, mówią sobie, jak to dobrze jest, że się tak dobrze znamy. Jest fajnie. Nagle jakaś osoba traci pracę, wypada z kręgu o ustalonym statusie (najczęściej materialnym) i już jest najczęściej „po przyjaźni”.

Opowiadał mi dawno, dawno temu kolega z Niemiec. Mówił o tym, że jak profesor nagle zostaje bez pracy, to jego dawni „przyjaciele” już go nie dostrzegają. Nie zapraszają na sznapsa, nie planują wspólnych wyjazdów w ciepłe kraje. Przecież nie będą zadawać się z bezrobotnym. Dzisiaj w Polsce jest podobnie, no tak czy nie?

Czy jest jeszcze miejsce na coś, co określa się mianem „przyjaźni”? Pewnie, że jest! Rzecz w tym, że więcej jest w relacjach ludzkich interesowności niż bezinteresowności.

Mam takiego znajomego, który mnie miał - nie wiedzieć czemu - za przyjaciela. Z tego, co mówił, to chyba tylko papieżu nimi nie byli. I gdy wypadł z tak zwanego układu, pewnie przejrzał na oczy, bo okazało się, że gdy potrzebował pomocy w życiowych trudnościach, to jakoś rzesza tych jego przyjaciół wyparowała, jak po wybuchu bomby atomowej. Któryś ze sztandarowych greckich filozofów stwierdził: „Przyjaciel wszystkich nie jest przyjacielem nikogo”. Ten mój kolega, a tym bardziej przyjaciel - jeśli zna tę sentencję - musiał przyznać rację filozofowi.

A może, jak głosi z kolei chrześcijańska filozofia, lepiej nie mieć przyjaciół, niż mieć fałszywych? A może lepiej nie utożsamiać znajomych z przyjaciółmi? Mam na Facebooku z pół tysiąca znajomych. Zakładam, że kilkanaścioro z nich przyjdzie na mój pogrzeb. Wśród nich będą ci, których określiłbym jako przyjaciół”.

Prawdziwa przyjaźń

Cóż, Andrzej ma pewnie sporo racji. Wprawdzie z badań wynika, że dla prawie 60 proc. z nas przyjaźń jest ważniejsza niż kariera i pieniądze, a nawet rodzina, jednak w czasach pogodni za sukcesem często tracimy z oczu to, co naprawdę ważne albo trafiamy na ludzi, którzy traktują „przyjaźń” instrumentalnie.

Wspomina o tym choćby Kaja Kowalewska, pisarka i psycholożka. Pisze tak: „W dzisiejszych czasach trudno o prawdziwą przyjaźń. O relację bez skazy opartą na dobroduszości i prawdziwej sympatii. Bezinteresowną, ciepłą, prawdziwą. Taką, która podaje rękę, kiedy smutek. Taką, która uśmiecha się razem z tobą, kiedy sukces. Taką, która umacnia”.

Dalej jest o fałszywej przyjaźni, o ludzkości, którzy udają przyjaciół po to tylko, „żeby wyznaczyć drogę, ścieżkę i czas, próbować o nas decydować, uzależnić emocjonalnie od siebie”. Takie osoby znają nasze tajemnice, ale nie po to, by nas chronić, a po to, żeby mieć w rękach narzędzie szantażu. Słuchają, ale wcale nie chcą pomóc i zrozumieć, wykorzystują to, co usłyszeły i puszczają w świat. Kowalewska nie ma jednak wątpliwości, że przyjaźń jest potrzebna, bo: „jest jak drabina, kiedy próbujesz zgarnąć z nieba gwiazdy albo przesunąć chmurę, aby nie zasłaniały drogi. Jest jak spacer po lesie - wolna od kłamstwa i ciepła jak lato. Jest jak na wpół wypita butelka wina, jak klucz, którym można otworzyć każde drzwi, jest parasolką, kiedy pada deszcz i kiedy zalewa się serce. Przyjaźń. Przyjaźń tworzy, przyjaźń umacnia, przyjaźń jest dłońią, która nie zabija”. Dlaczego o prawdziwych przyjaciół warto po prostu dbać.

*PRZYJACIÓŁMI SĄ LUDZIE,
KTÓRYCH LUBIMY, KTÓRYM
WIERZYM I Z KTÓRYCH TOWARZYSTWA
JESTEŚMY ZADOWOLENI. NIE NALEŻĄ DO RODZINY*

ZA POMOCĄ ZAPALEK I GWOŹDZI TWORZYŁY MAŁE OBRAZY ŚWIATA

Są takie miejsca w Polsce, gdzie tradycja nie jest tylko wspomnieniem, ale codziennością. Lipsk jest jednym z nich. To właśnie tutaj od ponad dwóch stuleci powstają pisanki, które zachwycają nie tylko mieszkańców regionu, ale i ludzi na całym świecie

Anna Gryza-Aneszko

Lipska pisanka jest chyba tą najsłynniejszą - już nie tylko w naszym regionie, ale i w Europie. Na świecie też jest znana - mówi etnograf dr Krzysztof Snarski z Muzeum Okręgowego w Suwałkach.

Tradycja pisankarska w Lipsku (pow. augustowski) sięga XIX wieku. Wtedy właśnie zaczęto zdobić jajka charakterystycznymi wzorami, techniką batiku szpilkowego.

Technika batikowa polega na nanoszeniu gorącego wosku na skorupkę jajka za pomocą szpilki. Dzięki temu powstają drobne kreski i przecinki, z których twórczynie układają misternie zaplanowane wzory, takie jak rozety, słoneczka, wachlarze czy łańcuszki, równomiernie pokrywając całą powierzchnię jajka. Dawniej, po wykonaniu woskowego wzoru, jajka barwiono naturalnymi sposobami - zanurzano je w wywarach z kory dębu lub olchy, często z dodatkiem opiółków żelaza, a następnie gotowano w łupinach cebuli.

Dzięki temu uzyskiwano charakterystyczne ciemne barwy - od czerni po różne odcienie brązu. Same łupiny cebuli pozwalały też uzyskać szeroką gamę brązów - od jasnych, złocistych tonów po głęboką, czerwona barwę. Od lat 70. XX wieku zaczęto stosować - zamiast całych jaj - wydmuszki oraz syntetyczne barwniki. Poprzez wielokrotne zanurzanie pisanek w różnych farbach - od najjaśniejszych po najciemniejsze - i jednoczesne uzupełnianie wzorów, powstają dziś wielokolorowe wielkanocne dekoracje.

Dom, w którym wszystko się zaczyna

Tradycja zdobienia pisanek przetrwała w Lipsku do dziś dzięki pasji i wytrwałości osób, które z pokolenia na pokolenie przekazują swoją wiedzę i umiejętności. To właśnie pisankarki

są strażniczkami dawnych technik, wzorów i znaczeń, dbając o to, by ta piękna część kultury ludowej nie zniknęła.

Opowieść jednej z lipskich pisankarek, pani Krystyny Cieśluk, zaczyna się w domu rodzinnym, gdzie tradycja zdobienia jaj była żywa i przekazywana z pokolenia na pokolenie.

- Moja babcia pisała, a później mamusia zaczęła zdobić jaja - wspomina. To właśnie matka była dla niej pierwszą nauczycielką i wzorem. Nowe pisanki pojawiały się w jej domu co roku przed Wielkanocą, a mała Krystyna już jako siedmioletnia dziewczynka próbowała swoich sił w zdobieniu. Z czasem niewinne próby przerodziły się w prawdziwą pasję. W szkole razem z innymi dziećmi - jak wtedy mówili - mazali jaja, a później, już jako młoda dziewczyna, zaczęła rozwijać swoje umiejętności i szybko przyszyły pierwsze sukcesy. - Mój brat wysłał moją pisanekę na konkurs i otrzymałam wtedy swoją pierwszą nagrodę. To mi uzmysłowiło, że umiem to dobrze robić - opowiada z uśmiechem.

Potem były kolejne wyróżnienia w ogólnopolskich konkursach. Jednak najważniejsze nie było uznanie, lecz sama sztuka tworzenia. Pani Krystyna szczególnie barwnie opowiada o dawnych technikach wykonywania pisanek.

- Dawne pisanki były wykonywane na jajku zwykłym, takim surowym, niegotowanym - podkreśla. - Pisało się zapalną lub patyczkiem, takim zastruganym jak ołówek. Z czasem pojawiły się proste metalowe końcówki, zdobywane z wielkim trudem. Czasami nawet malowało się gwoździami, takimi małymi i cienkimi - opowiada.

Kluczową rolę odgrywał wosk, dzięki któremu na skorupkę nanoszono wzór, a potem jajko trafiało do naturalnych barwników. - Wkładano się do wody wysuszoną cebulę, do innego garnka czerwone buraki, a do kolejnego - zboże zyt-

nie - wylicza. - Dzięki temu powstawały kolory ziemi: brązy, czerwienie, zielenie.

Z biegiem lat zmieniała się pisankarska technika. Pisanki zaczęto robić na wydmuszkach. Powód był praktyczny - pojawiły się wyjazdy na zagraniczne konkursy i związana z tym potrzeba trwałości. Wydmuszki nie psuły się i mogły przetrwać dłużej niż jajka gotowane. Mimo zmian jedno pozostało niezmiennie - wzory i ich znaczenie.

Pani Krystyna pamięta słowa starszych: - Babcia i mama mówiły: zapamiętaj, że na pisanecie powinny znaleźć się takie wzory, które nas otaczają na ziemi, to, co nas otacza w powietrzu i to, co jest na niebie, czyli słońce, księżyc i gwiazdy. Pisanka była więc małym obrazem świata, symbolem życia, natury i wiary - opowiada. Tworzenie pisanek to dla niej nie tylko rzemiosło, ale i radość. Przez lata przekazywała swoją wiedzę innym, prowadząc zajęcia dla dzieci i młodzieży. Wielu jej uczniów wraca po latach z wdzięcznością za to, czego ich nauczyła. Dziś tradycja trwa dalej w jej rodzinie.

- Moje córki i wnuczki robią bardzo dużo pisanek - podkreśla z dumą. Sama zajmuje się tym już ponad 80 lat.

Spojrzy na jajko i już wie, co na nim namaluje

W Lipsku czas płynie trochę inaczej. Nie mierzy się go tylko godzinami, ale też warstwami koloru na skorupce jajka. Tak przynajmniej jest w domu Genowefy Sztukowskiej-Skardzińskiej. Tam wszystko zaczyna się od prostego gestu - wzięcia jajka do ręki.

- Wezmę taką skorupkę i już wiem, co ma na niej być - mówi, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. Ale zanim przysłała ta pewność, była długa droga. Pani Genowefa nie od razu była mistrzynią. Jako młoda dziewczyna malowała pisanki z mamą i babcią. Później trafiła do Lipska - jak to się mówi - za mężem.

- Ciocia męża wiele mnie nauczyła - przyznaje. - Miała duże doświadczenie, bo przez lata robiła pisanki do Grodna. Razem z nią już od połowy postu pisałyśmy na pełnych jajkach. Potem robiłyśmy naturalne farby: z rdzawego żelaza i suszonej kory olchy. Jajka moczyło się w tym kilka dni. A potem do garnka, do cebulnika i ugotować - tłumaczy.

Przez lata pani Genowefa tworzyła pisanki do Cepelii.

- Przyjeżdżali z Białegostoku z kufkami i my im te nasze pisanki pakowałyśmy, a potem to wszystko szło za granicę, nawet do Ameryki - mówi z uśmiechem.

W jej kuchni powstawały setki, tysiące wzorów. Delikatnych, ale powtarzanych z ogromną dyscypliną. A mimo to każda pisanka była trochę inna. Proces ich powstawania brzmi jak opowieść o cierpliwości: - Naprzód piszemy woskiem, potem malujemy na żółto, potem piszemy to, co złote ma być, potem w czerwono, potem w czarno - wylicza pisankarka. A na końcu moment prawdy: - Nad gazem pisanekę wycieram i pozostają tylko wzorki.

Pani Genowefa nie zatrzymała się na jednym rodzaju pisanek. Próbowwała różnych form:

- Ja robię na kurzych jajkach, ale i na gęsich, a nawet na strusich. Ale im większe jajko, tym więcej potrzeba czasu i cierpliwości - tłumaczy. - Ja pisanki przez cały rok robię, po trochu.

W domu jeszcze nie było światła, a ona już pisała

Historia trzeciej lipskiej pisankarki - Janiny Trochimowicz - również zaczęła się w dzieciństwie. - Zaczęłam tworzyć pisanki mając może 7-8 lat. Jeszcze u nas w domu nie było światła. Siadaliśmy przy stole, była zapalona świeca i na łyżce wosk. Dziś brzmi to jak opowieść z innej epoki - opowiada.

Nie bez znaczenia była też rodzinna tradycja i obowiązki. Lata temu pisanki miały swoje kon-

Polska
Piątek - poniedziałek, 3-6.04.2026



Genowefa Sztukowska-Skardzińska z Lipska



Janina Trochimowicz z Lipska



Krystyna Cieśluk z Lipska

kretnie miejsce w obrzędowości. - Trzeba było bardzo dużo napisać tych jajek, bo kiedyś dawało się je chrześniakom jako wykupne... A że moja mama miała aż dziesięcioro chrześniaków i dla każdego trzeba było dać kilka jajek... - śmieje się pani Janina.

Kiedy dorosła i zaczęła pracę, codzienne obowiązki odsunęły pisanki na dalszy plan. Jednak pasja nie zniknęła. - Wtedy troszeczkę zaniedbałam pisanki, ale jak poszłam na emeryturę, zaczęłam od nowa - podkreśla.

Dziś nie tylko tworzy, ale też przekazuje swoją wiedzę dalej: - Moja córka też pisze... Są pokazy robione w Gminnym Ośrodku Kultury, na które przychodzą dzieci i młodzież. Na szczęście niektórzy młodzi ludzie chętnie się tego uczą. To daje nadzieję, że ta piękna tradycja nie zginie.

Małe dzieła sztuki

Pisankarki od pokoleń odgrywają niezwykle ważną rolę w podtrzymaniu wielkanoc-

nych tradycji. To dzięki ich pracy i cierpliwości w wielu domach wciąż można podziwiać piękne, ręcznie zdobione pisanki, które nadają wyjątkowego charakteru świętom Wielkanocy. Każde jajko wykonane przez pisankarkę to nie tylko ozdoba, ale także fragment dziedzictwa kulturowego, przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Ich praca sprawia, że wielkanocne koszyczki stają się małymi dziełami sztuki - pełnymi kolorów, symboli i wzorów inspirowanych naturą oraz tradycją ludową. Wśród zielonych gałązek bukszpanu i świątecznych wypieków kryje się historia, którą pisankarki pielęgnują przez całe życie. Co ważne, ich twórczość zachwyca nie tylko Polaków, ale też mieszkańców innych części świata. Ich pisanki bowiem trafiają do różnych krajów - jako prezenty, pamiątki lub elementy wystaw i jarmarków. Dzięki temu lipska pisanka stała się rozpoznawalna i ceniona również poza granicami kraju.

FOT. ANNA GRYZA-ANESZKO

FOT. ANNA GRYZA-ANESZKO

FOT. ANNA GRYZA-ANESZKO

Znalazłam go przypadkiem. Stał na parapecie, wśród rzeczy przeznaczonych „do oddania albo wyrzucenia”. Nie-wielki dzbanuszek – biały, z kobaltowym wzorem, lekko przetarty na brzegu. Dla kogoś był już niemodny, może zbyt zwyczajny, może po prostu nie pasował do nowoczesnej kuchni. Dla mnie stał się początkiem kolejnej historii.

Bo właśnie tak najczęściej trafiają do mnie wrocławskie skarby – ocalone w ostatniej chwili. Z piwnic, strychów, ogłoszeń, z domów, w których zmienia się pokolenie i gusty. Ktoś mówi: „To tylko stare talerze”, a ja widzę ręczną pracę, czyjś czas, czyjś wrażliwość i fragment większej opowieści.

Ten dzbanuszek nie jest wyjątkowy w sensie muzealnym. Nie ma złożonych rantów ani spektakularnej formy. Ale ma coś więcej – ślad ręki malarki, delikatnie nierówną linię, drobne różnice w ornamentach. Właśnie te detale przypominają, że wrocławski fajans nigdy nie był produktem bezdusznym. Każdy egzemplarz nosi w sobie indywidualność twórczyni, która siedząc przy stole, dzień po dniu, malowała kwiaty, a czasem odważniejsze, bardziej geometryczne wzory.

Sztuka codzienności

Miłość do wrocławskiego fajansu wyniosłam z domu. W mojej rodzinnej kuchni na ścianie wisiały piękne, kolorowe talerze – niektóre zdobione wzorami przypominającymi stylistykę Picassa. Były jak mała galeria sztuki codzienności. W każdą sobotę odbywał się niemal rytuał: zdejmowanie talerzy i ich staranne wycieranie. Robiłam to bardzo delikatnie, uważnie przyglądając się malowanym wzorom. Każdy talerz wycierałam osobno, za każdym razem z tym samym zdziwieniem, że nikt z nich nie korzysta przy stole.

- To taka ozdoba. Jak z tego jeść? - dziwiła się mama.

W domu używało się porcelany ze złoceniami – elegancji i klasycznej. Była piękna, ale mnie zawsze przyciągał kolor. Od jednego niewielkiego wazonika wszystko się zaczęło. Później dołączyły przed-

WIELKANOCNE ŚNIADANIE NA FAJANSIE WŁOCŁAWSKIM

W czasach, gdy stare przedmioty zbyt łatwo trafiają na śmietnik, są jeszcze tacy, którzy potrafią dostrzec w nich coś więcej niż niemodny bibelot. Wrocławski fajans – kruchy świadek codzienności minionych pokoleń – wraca dziś na stoły i do domów, ocalony od zapomnienia wraz z historiami, które w sobie nosi

Ewelina Fuminkowska

mioty z kolekcji mojej mamy, a z czasem zaczęłam szukać kolejnych egzemplarzy. Dziś w moim domu powstało małe muzeum wrocławskiego fajansu: kilka obiadowych zestawów na dwanaście osób, siedemnaście dużych wazonów i wiele drobnych dodatków. Łącznie kilka tysięcy przedmiotów. Część z nich wciąż czeka na swoją witrynę, w której będzie można je w pełni wyeksponować.

Na moim stole, w zależności od okazji, pojawia się ceramika z Bolesławca albo wrocławski fajans. Czasem są to jedynie dekoracyjne akcenty, czasem cała zastawa. Bo kawa z kolorowego kubka smakuje inaczej. Obiad podany na pięknie zdobionym talerzu nabiera wyjątkowego charakteru. Te wzory – nietypowe, ręcznie malowane, dalekie od masowej produkcji marketów – mają w sobie coś niezwykłego.

Są oryginalne, rzadkie, niepowtarzalne.

„Wrocławki”

Jako Kujawianka nie potrafiłam przejść obojętnie obok zapomnianych wzorów i kolorów, które niosą ze sobą historię regionu. Wrocławski fajans to nie tylko ceramika. To fragment opowieści o miejscu, z którego pochodzę.

Wrocławski fajans porusza także innych. Ania pochodzi

z Lublina, mieszka w Londynie. - Pokochałam wrocławski fajans, bo jest inny niż przedmioty z marketu. Ręcznie wykonany i po prostu piękny. Szukam go wszędzie, od targów po śmietniki. I właśnie z kontenerów w Lublinie mam ich najwięcej. Tata wyciąga mi je podczas spacerów z psem - opowiada.

Grzegorz „wrocławki” kolekcjonuje wraz z żoną. - Pochodzimy z Olsztyna. U nas

na targach staroci jest go bardzo mało, ale jeździmy po kraju i szukamy. Myjemy każdy przedmiot, czasem naprawiamy, gdy ma jakieś ubytki; potem zdobi nasz dom. Nie ma nudy, bo wszystko jest oryginalne i wyjątkowe.

Każdy talerz jest inny, bo każdy powstał z ręki malarki. Wzory różnią się detalami, odcieniami, rytmem pędzla. I właśnie w tej niedoskonałej powtarzalności kryje się ich urok.

Bo „wrocławki” to nie tylko klasyczne, niebieskie kwiaty. To także „pikasiaki” z lat 60. – odważne, inspirowane sztuką nowoczesną, pełne abstrakcyjnych form i śmiałych zestawień kolorów. Dziś znów zachwycają, choć przez lata bywało, że spychano je na marginesie jako zbyt ekstrawaganckie.

Kolekcja opowieści

Moja kolekcja rośnie właśnie dzięki spotkaniom - z przedmiotami i z ludźmi, którzy chcą się ich pozbyć. Każdy talerz, każdy wazon, każdy dzbanek ma swoją drogę i historię. Jedne były prezentem ślubnym, inne stały latami w kredensie „na specjalne okazje” lub wisiały na ścianie, bo to było modne, jeszcze inne - jak mój dzbanuszek - niemal trafiły na śmietnik, bo trzeba było wyczyścić mieszkanie po babci.

- To był talerz mojego dziadka - mówi znajoma, podając mi niewielki, kolorowy talerzyk. - Wisiał na ścianie i zawsze przypominał mi babcię.

Dziś stoją u mnie. Używane. Obecne przy codziennych posiłkach, dekoracjach. Bo wierzę, że najgorsze, co może spotkać piękne przedmioty, to zapomnienie.

Wracając do tych form i wzorów, wracam też do historii - nie tylko tych przedmiotów, ale i tej większej, zapisanej w pracy projektantów i marek z Wrocławka. Ich dorobek można dziś podziwiać w Muzeum Fajansu we Wrocławku, ale dla mnie najważniejsze jest to, że te przedmioty wciąż żyją poza muzealnymi gablotami.

Na stole. W dłoniach. W codzienności.

I może właśnie dlatego wciąż go zbieram - żeby ocalić rzeczy, ale i opowieści, które mogłyby zniknąć razem z nimi. ©



Kobaltowe, kolorowe, w geometryczne wzory – wrocławski fajans zachwyca także dziś. To wyjątkowa dekoracja domów



Koguty i kurczaki malowane przez Tadeusza Wichrowskiego najczęściej na biennale – cykliczne konkursy i wystawy



Kawa z kolorowego kubka smakuje inaczej, a każdy deser czy danie, nawet najprostsze, prezentuje się lepiej



Deseczka znaleziona przez mojego tatę w Gdańsku



Kobaltowy fajans, piękny, elegancki i ponadczasowy. Dawniej w gabinetach dyrektorów i prezesów



Cukiernica krówka z Koła. To nietypowa dekoracja stołu

KATARZYNA BONDA: POTWÓR TEŻ MARZY O DOMU

Jej najnowsza książka „Dom bestii”, inspirowana prawdziwą historią, opowiada o domu jako miejscu, w którym rodzą się lęk, przemoc i głód władzy. – Bardzo wielu ludzi żyje w iluzji i nie chce tego widzieć. A kiedy nagle zobaczysz prawdę, grunt usuwa ci się spod nóg – mówi pisarka Katarzyna Bonda

Anita Czupryn

Wielkanoc to czas, kiedy sprzątamy domy, myjemy okna, wpuszczamy światło, siadamy przy stole z bliskimi. Ty przychodzisz ze swoją najnowszą książką „Dom bestii”. Przypadek? Nie sądzę.

To ciekawe, bo pierwszych zbrodni Norbert Marciniak, bohater „Domu bestii”, dokonał właśnie tuż przed Wielkanocą. Dokładnie wtedy, kiedy wszyscy myją okna i przygotowują się do świąt, bez śladu zniknęli Julian, mąż Marleny - późniejszej partnerki Norberta - i jej córka Sandra. Nie zaplanowałam tego, a jednak książka ukazuje się właśnie w okolicach Wielkanocy, w rocznicę tamtego zaginięcia i pierwszej zbrodni, kiedy zaczął się konstruować modus operandi zabójcy. Później zabił jeszcze trzy osoby, zawsze na wiosnę, w pobliżu świąt wielkanocnych. Nigdy nie wyjaśniono jednoznacznie, czy miało to jakieś głębsze podłoże psychiczne, czy po prostu wynikało z okoliczności. Ale niewątpliwie był to dla niego moment sprzyjający. Ta historia, choć mamy tu seryjnego sprawcę z motywu seksualnego, jest przede wszystkim książką o rodzinie. I to znów łączy się z tym, o czym powiedziałaś: święta gromadzą ludzi nie tylko przy stole, ale też pozwalają im spotkać się i zrewidować relacje. Wszyscy wtedy obdarzają się czułością, ciepłem, po to właśnie sprzątaj domy - bo przyjedzie rodzina, bo ma być dobrze, przyjaźnie, bezpiecznie. Morderca wykorzystał ten czas. Umówił się

na przedświąteczne spotkanie pod pozorem pojednania. To wiąże się z bardzo zawiłą historią...

Ale może nie opowiadamy teraz za dużo. W książce „Dom bestii” dom wcale nie jest azylem. Jest polem walki o władzę, pieniądze, przynależność, miłość. W posłowie piszesz, że dom traktujesz jako symbol rodziny i gniazda, ale też jako nośnik pieniędzy. Czyli dom to nie jest tylko czułość; jest też interesem, układem, zależnością?

Oczywiście. Przede wszystkim dom jest przynależnością, poczuciem, że to jakiś rodzaj korzenia, coś, co nas trzyma. W rodzinach bywa różnie: ludzie się kłócą, potem jedną, dochodzi do trudnych sytuacji, do scysji, do pęknięć. A jednocześnie, jeśli masz rodzinę, to jednak ona daje ci jakiś rodzaj trwałości. Niezależnie od tego, czy dzielą was poglądy, czy przekonania, więzy krwi sprawiają, że istnieje coś stałego, coś, do czego można się odwołać. Norbert, bohater mojej książki, nie miał domu. Jego najgłębszym dążeniem było właśnie to, żeby taki dom stworzyć. Ale kiedy czytelnik przejdzie przez wszystkie domy, w których był, i przez środowiska, które go ukształtowały, zobaczy, że dom jest początkiem wszystkiego. To fundament. Baza. Jeśli mamy ją dobrze postawioną, dostajemy matrycę, która pozwala nam w miarę zdrowo funkcjonować. Możemy mieć problemy, rany, kryzysy, ale nie odry-

swoje braki, rany, niedostatki i wychodzą na prostą. Czasem wręcz na zasadzie kontrastu próbują żyć uczciwie, spokojnie, budować świat pełen porządku i miłości. Znam osobiście wiele takich osób, które wyszły z toksycznych środowisk, może nie aż tak skrajnych, jak to, które opisuję w tej książce, bo to jest jednak historia szczególnie, ale jednak wyszły z czegoś bardzo trudnego i potrafiły stworzyć coś dobrego. To jest możliwe. Norbert poszedł po prostu na skróty. Stworzył sobie własną, wyimaginowaną przestrzeń. I to się łączy z jego historią bardzo głęboko, bo u niego seksualność splata się z przestrzenią bliskości. To jest jeden z głównych problemów tej postaci: ci wszyscy ludzie, którzy wcześniej tworzyli jego domy, tak naprawdę odebrali mu duszę. To sytuacja bardzo toksyczna i moim zdaniem absolutnie precedensowa. Ale nie, to nie działa tak, że jeśli ktoś miał złe dzieciństwo, to musi zostać psychopatą i wejść na drogę kryminalną. Absolutnie nie.

W książce zbrodnia rozgrywa się w aurze religijnej symboliki, oczyszczania, fałszywego porządku i tego, co Twój bohater robi z pojęciem zbawienia. Mówi o ofierze, o zbawieniu, o oczyszczaniu domu ze zła i sam ustawia się w roli tego, który ma zaprowadzić ład. Co się dzieje, kiedy człowiek zawłaszcza język dobra, żeby usprawiedliwić zło?

Długo się nad tym zastanawiałam, dlatego że w tej historii jednocześnie występuje wypaczona seksualność i wypaczona religijność. I moim zdaniem żadne z tych pojęć nie jest tu prawdziwe. Norbert wybiera sobie tylko te elementy, które pasują mu do budowania własnego ładu, ale tak naprawdę cały czas dąży do władzy. Pisząc tę książkę, zastanawiałam się, jak to możliwe, że chłopak, który był tak religijny, prawdopodobnie najbardziej religijny w swojej pierwotnej rodzinie, staje się kimś takim. Jego matka nie była osobą religijną, nie chodziła do kościoła, wręcz była wobec Kościoła dość krytyczna. Zgodziła się, żeby zamieszkał przy parafii, właściwie z powodów praktycznych: mieli bardzo małe mieszkanie, szesnaście metrów, i on po prostu się w tym domu nie mieścił. Samo to wydaje mi się niezwykłe. Zwłaszcza że ona nie była przecież matką zimną czy okrutną, nie stosowała prze-

Polska
Piątek–poniedziałek, 3–6.04.2026

mocy wprost. To wszystko działa się bardziej na poziomie niuansów, zaniedbań, przesunięć odpowiedzialności. Religijność dawała Norbertowi poczucie przynależności do wspólnoty. Znów miał korzeń, coś, co go trzymało. W parafii też obowiązywał kodeks, zasady, według których można było funkcjonować. I on, jak każdy psychopata, świetnie się do nich dostosował. Piął się w górę, bo nie chciał być zwykłym ministrem. Został lektorem, wysyłano go na specjalne kursy, pięknie śpiewał, miał wręcz anielską fizjonomię. W tym czasie księża i ludzie Kościoła byli dla niego wyznacznikiem tego, do czego warto dążyć, żeby mieć lepsze życie. Pochodził z biedy, z niedostatku, gdzie wszystkiego brakowało, a w Kościele wszystko było: porządek, znaczenie, prestiż. Na początku patrzyłam na niego przede wszystkim jak na ofiarę, która bardzo wiele przeszła. I oczywiście nią był. Ale z czasem zaczęłam widzieć również to, że ta ofiara nauczyła się rozpoznawać korzyści.

On nigdy nie powiedział rodzicom, matce, ojczymowi, że jest molestowany przez księży.

Oczywiście ofiary często tak postępują; to bardzo złożony mechanizm, z tej matni nie da się po prostu wyjść jednym ruchem. Później trafia jednak w kolejne ręce - do zdegenerowanego małżeństwa. Do mężczyzny, który kocha mężczyznę, ale żyje w czasach, kiedy nie ma przyzwolenia społecznego ani świadomości, że można się po prostu ujawnić. Więc buduje sobie przykrywkę: ma żonę, córkę, a jednocześnie funkcjonuje w zupełnie innym, ukrytym obiegu relacji. Już samo to pokazuje, że mamy do czynienia z małżeństwem głęboko wypaczonym. I oni przygarniają Norberta - chłopaka już mocno skrzywdzonego przez księży. Ale to wcale nie znaczy, że on nagle dostaje swoje miejsce, pokój, piękne życie. Znów łąduje w przedziwnym układzie zależności. Śpi na materacu obok łóżeczka ich córki, bywa wciągany w tę rodzinę jako ich przyzwany syno-brat i kochanek jednocześnie. To jest układ bardzo chory, trudny nawet do wyobrażenia. A jednak z jego perspektywy to dla niego skok klasowy. Trafia do ludzi, którzy reprezentują zupełnie inny poziom życia: są pieniądze, obrazy na ścianach, jazz, inne filmy, inny język świata. Jego matka jest woźną, ojczym pracuje w tramwajach warszawskich, więc dla niego to awans. I w tym momencie następuje bardzo ważna zmiana: wcześniej nośnikiem władzy był dla niego Kościół, teraz stają się nim pieniądze. Julian staje się figurą ojca: uczy go

różnych rzeczy, daje mu pracę, wprowadza w swoje machinacje finansowe i oszustwa. Norbert staje się jego pomagierem, a jednocześnie opiekuje się Sandrą, córką Juliana i Marleny, trochę jak niania, trochę jak starszy brat. I znów wszystko dzieje się pod zasłoną pozorów. Z zewnątrz wygląda to pięknie: oto dorosły wyciągają rękę do chłopaka z biedy i ratują go z rąk księży pedofilów. Ale właśnie na tym polega groza tej historii, że za każdym razem mamy do czynienia z maskami zależności. Jedne zakłada Norbert, inne zakładają ludzie, którzy później sami stają się ofiarami.

Jak w ogóle trafiłaś na tę historię?

Pisałam wtedy inną książkę, ale w wydawnictwie wszyscy wiedzą, że lubię sobie robić płodozmiany i od czasu do czasu zanurzyc się w prawdziwej historii. Wierzę, że opowieści, które rzeczywiście się wydarzyły, niosą w sobie więcej prawdy, więcej mroku i więcej mówią o ludzkim losie niż te całkowicie wymyślone. Małgorzata Świąćicka z wydawnictwa Muza przysłała mi link do tekstu o tej sprawie. Właściwie nie zamierzałam go wtedy otwierać, bo byłam zajęta inną książką, ale kiedy zaczęłam czytać reportaż Heleny Kowalik, nie mogłam uwierzyć, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Byłam wstrząśnięta. I jednocześnie zdumiona, że ta sprawa kiedyś gdzieś mi przemknęła, że ja jej wcześniej nie zarejestrowałam. Zwykle w takich historiach dominuje jeden mocny temat, a tutaj było ich tyle, że aż puchła głowa: sacrum i profanum, seksualność, religia, przemoc, manipulacja, rodzina, władza. Do tego sprawca, który zabijał z niezwykłą precyzją i przez lata pozostawał nieuchwytny, bo po jego zbrodniach zostawały właściwie tylko zaginięcia. Bez śladów krwi, bez oczywistych tropów. Im głębiej w to wchodziłam, tym wyraźniej widziałam, że mamy do czynienia z kimś, kto sam przez lata był ofiarą przemocy, wykorzystywania i manipulacji. Musiał nauczyć się masek, które później, już jako sprawca, pozwalały mu działać chłodno, precyzyjnie, zacierać ślady i likwidować dowody. Wszystko robił na zimno, z ogromną konsekwencją. A jednocześnie to jest historia pełna emocji. Przez długi czas opowiadano ją w taki sposób, jakby to była opowieść o miłości: że on zabił dla kobiety, którą kochał. Mam na to własne spojrzenie. I bardzo chciałam, żeby czytelnik sam wszedł w tę historię i sam zobaczył, że paradoksalnie miłości tutaj wcale nie ma.

W Polsce bardzo często idealizujemy rodzinę, a Twoje

*RODZINA DAJE POCZUCIE, ŻE PRZE-
TRWASZ. MOŻESZ SIĘ Z RODZICAMI
KŁÓCIĆ, ALE WIELU LUDZI NOSI
PRZEKONANIE, ŻE JEŚLI WRÓCĄ,
TO JAK SYN MARNOTRAWNY*



FOT. MARTA MACHEJ

Bonda: Wierzę w dobro. „Dom bestii” pokazuje chorą płataninę iluzji, przemocy i wyparcia. I może dlatego jest to książka ważna dla tych, którzy wolą żyć w fantazji

książki pokazują, że rodzina bywa też miejscem przemocy i manipulacji. Skąd w nas taki upór, żeby rodzinę uważać za świętość, nawet wtedy, gdy krzywdzi?

Myszę, że to się jednak zmienia. To przekonanie, że rodziny trzeba bronić za wszelką cenę i nigdy nie wolno o niej mówić źle, jest już bardziej dziedzictwem starszych czasów. Coraz więcej młodych ludzi ujawnia dziś rodzinne patologie, wyjmuje z szafy to, co było tam latami upchnięte, i mówi o tym otwarcie. Rodzina przestała być już taką nienaruszalną świętością. Ale z drugiej strony człowiek jest istotą społeczną. Nie umiemy żyć w całkowitej samotności. Potrzebujemy przynależności, wsparcia, poczucia, że mamy swoich ludzi. I ta historia bardzo dobrze to pokazuje. Choćby na przykładzie Juliana, który potrzebował rodziny także jako osłony, jako potwierdzenia, że jest taki jak wszyscy, że mieści się w normie. A równocześnie miał przeciwieństwo swoją rodzinę z wyboru, ludzi, którzy go rozumieli, akceptowali i wspierali.

Którzy też byli trochę inni, prawda?

Tak, każdy z nich był na swój sposób wyrazisty, po prze-

ściach, jakoś naznaczony. Życie ich do siebie przyciągnęło, pasowali do siebie. Ale widać też, co się dzieje w sytuacji granicznej. Kiedy Julian zniknął, ta rodzina z wyboru się rozpada. Mimo że ci ludzie naprawdę dobrze mu życzyli, troszczyli się o niego, znali jego wady, oszustwa, niestabilność, akceptowali go takim, jaki był. Ale kiedy do gry weszła policja i zaczęło się śledztwo, każdy zaczął ratować siebie. I to też jest bardzo ciekawe: rodzina z krwi często potrafi trwać w zmwowie milczenia, zebrać się, walczyć, chronić swoich, nawet za cenę prawdy. Rodzina z wyboru bywa bardziej krucha. Kiedy przychodzi próba, często się rozsypuje. To pokazuje, po co właściwie potrzebujemy rodziny i dlaczego tak zaciekle bronimy jej sekretów.

Bo rodzina ocala?

Bo rodzina daje poczucie, że przetrwasz, cokolwiek się stanie. Możesz się kłócić z rodzicami, odcinać, uciekać, ale gdzieś bardzo głęboko wielu ludzi nosi w sobie przekonanie, że jeśli wrócą, jak syn marnotrawny, to jednak zostaną przyjęci. Że ktoś ich nie odrzuci, tylko wesprze. Byłam niedawno na spotkaniu autorskim Wiktora Słojkowskiego...

...autora książki „Matka nikt”.

Tak. I on powiedział coś bardzo ważnego: że choć nie ma kontaktu z matką, to gdyby zadzwoniła i potrzebowała pomocy, pomógłby jej. To jest dla mnie niezwykle poruszające. Bo pokazuje, jak głęboko w nas siedzą więzy krwi, nawet wtedy, gdy relacja jest trudna, toksyczna, poraniona. Tego bardzo często nie da się po prostu przeciąć. To jest jakiś rodzaj biologicznej i psychicznej nitki, coś niemal atawistycznego. I może właśnie dlatego tak wiele książek jest w gruncie rzeczy o rodzinie. Nie tylko reportaże.

Jeśli już wspominałaś o miłości, to zastanawiałam się, czy na przykładzie Norberta można w ogóle mówić o miłości. Czy człowiek bardziej pragnie miłości, czy bardziej władzy nad drugim człowiekiem?

To zależy, z kim mamy do czynienia. Jeśli mówimy o narcystrycznym manipulancie, o psychopacie, który chce ustawić życie według własnych wyobrażeń i rozstawia ludzi jak figury na szachownicy, to odpowiedź jest dość oczywista: tu chodzi przede wszystkim o władzę. Ludzie, którzy naprawdę pragną miłości, bardzo często stają się ofiarami takich osób. Bo jeśli masz w sobie miłość, chcesz się nią dzielić, da-

wać ją, budować więź, to nie działasz po to, by kogoś sobie podporządkować. W tym sensie pragnienie miłości bardzo często oznacza też potrzebę akceptacji, zrozumienia, bycia zauważonym. I ja właśnie tak patrzę na ten przypadek. Bo miłość tutaj oczywiście pada jako słowo, ale nie ma nic wspólnego z dojrzałym uczuciem. To nie są motyle w brzuchu, które tak często myli się z miłością. To raczej chemia, zakochanie, zależność, potrzeba posiadania. A przecież prawdziwa miłość to coś, co łączy, buduje i staje się spoiwem między ludźmi.

Ciekawa jest postać Marleny, bo ona w tej historii nie mieści się ani w roli ofiary, ani sprawczyni. Interesują Cię właśnie takie postaci, które wymykają się łatwej moralnej ocenie?

Dla mnie Marlena jest jedną z najbardziej przerażających postaci w tej książce. Powiedziałabym nawet, że w tej historii nie ma jednej bestii, tylko są dwie, i ona jest jedną z nich. To postać bardzo zmiennokształtna. Oczywiście ona także była ofiarą i bardzo wiele przeszła. I właśnie na tym poziomie zrozumiała się z Norbertem. Połączyło ich doświadczenie krzywdy, a z tego zbudowali własny, hermetyczny front, kompletnie niezrozumiały dla świata z zewnątrz. Ale kiedy czytałam akta, miałam wobec niej bardzo sprzeczne uczucia. To ktoś, kto prowadzi pasożytniczy tryb życia, nigdy naprawdę nie pracował, zawsze był przez kogoś utrzymywany. Zawsze pięknie ubrana, uczesana, zadbaną, budująca swoją wartość na urodzie i cielesności. I właśnie dlatego jest dla mnie tak ciekawa: to postać, która przechodzi drogę od ofiary do osoby, która ma władzę i zza kulis zarządza całą sytuacją. Przecież wszyscy zaginionieni są z nią jakoś powiązani. I Keller, prowadzący śledztwo, w pewnym momencie wprost ją o to pyta, czy nie zastanawia jej, że wszystkie te osoby łączy właśnie ona. To bardzo znaczący moment.

Już na początku tej historii pokazujesz ją jako kobietę, która w tangu daje się prowadzić tak pięknie, że partner ma wrażenie, iż to właśnie ona prowadzi.

Dokładnie tak ją napisałam, bo mam poczucie, że właśnie taka była. Kiedy czytałam protokoły przesłuchań, byłam zszokowana, jak można mówić bardzo dużo, a właściwie nie powiedzieć nic. Jak można opowiadać o sobie jako o ofierze, a jednocześnie przez cały czas kontrolować rozmowę. Marlena miała właśnie taką zdolność. Ona mówi otwarcie o sprawach, o których większość ludzi nigdy nikomu by nie opowiedziała. I robi to

w taki sposób, że z jednej strony odsłania się, a z drugiej cały czas prowadzi grę. Keller w pewnym momencie sam orientuje się, że zachowuje się wobec niej inaczej, że ona przejmując kontrolę nad przesłuchaniem. Właśnie tak jak w tangu, pozornie daje się prowadzić, ale w rzeczywistości to ona nadaje rytm. To było dla mnie wręcz szokujące: obserwować taki rodzaj kompetencji, taką umiejętność sterowania rzeczywistością. Choć niczego jej nie udowodniono, to trudno uwierzyć, że przez tyle lat mogła nie widzieć, co dzieje się wokół niej. Zwłaszcza że wszyscy ci ludzie byli związani z ich wspólnym światem, z ich układem, z ich relacją. Prędkiej czy później musiała stanąć przed wyborem, po czyjej stronie. I moim zdaniem ten wybór podjęła. Za Norbertem. Za mężczyzną, który ją utrzymywał, zapewniał jej życie, jakiego chciała, i dawał jej bezpieczeństwo. Dlatego wracam do pytania, czy to była miłość. Oni oczywiście bardzo dużo o niej mówią, ale dla mnie to nie jest miłość. To raczej układ dwojga ludzi, którzy idealnie do siebie pasują, bo każde z nich daje drugiemu dokładnie to, czego tamto potrzebuje. Stworzyli dom całkowicie zamknięty, szczelny, niepotrzebujący nikogo z zewnątrz. W momencie gdyby ktoś przyszedł i to zdestruował, to po prostu zostałyby wyeliminowane.

Czy Ty po napisaniu tej książki nadal wierzysz ludziom?

Absolutnie tak. Ja w ogóle wierzę w dobro. To nie jest tak, że po takich historiach tracę wiarę w ludzi. Owszem, „Dom bestii” pokazuje bagno, ciemność, chorą płataninę iluzji, przemocy i wyparcia. I może właśnie dlatego jest to książka ważna, szczególnie dla tych, którzy wolą żyć w fantazji niż zobaczyć prawdę. Bo bardzo wielu ludzi funkcjonuje w takich wyobrażonych światach i nie chce patrzeć. I ja to rozumiem. Nie każdy ma siłę unieść prawdę, bo kiedy nagle ją zobaczysz, grunt usuwa ci się spod nóg, jakby rozpadło się lustro, w którym do tej pory oglądałaś świat. A jednak wierzę, że na każdym etapie życia można się z takiej matni wydostać. Myszę, że nawet Norbert, Marlena i inni bohaterowie tej historii, zarówno ofiary, jak i sprawcy, mogli uniknąć tego końca, gdyby w pewnym momencie zatrzymali się, wzięli odpowiedzialność za siebie i przestali iść na skróty, by nakarmić potwora iluzji, którego nosili w sobie. Problem polega na tym, że wielu ludzi po prostu nie chce widzieć. Czasem jesteśmy ofiarami również dlatego, że nie przejmujemy steru, nie bierzemy życia we własne ręce. A przecież większość z nas nosi w sobie jakieś pęk-

nięcia, rodzinne rysy, niedopowiedziane historie. Kiedy rozmawiam z ludźmi, często słyszę: „Pochodzę z dobrego domu, u mnie nic się nie działo”. Ale jeśli wejść głębiej, jeśli naprawdę zacząć się przyglądać, okazuje się, że prawie każda rodzina ma swoje cienie. Oczywiście nie w takiej skali jak tutaj, ale jednak. Nie ma rodzin idealnych, nie ma ludzi idealnych, nie ma też tak zwanej normalności.

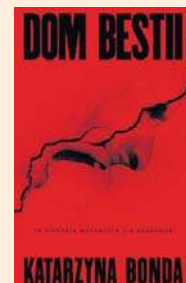
A dom idealny, który Norbert chciał stworzyć, był po prostu domem obsesji.

On chciał być w nim Bogiem. Chciał rozdawać karty, decydować, ustalać porządek. Na tym polegała jego wizja idealności: że wszystko będzie pod jego kontrolą.

Kiedy myślisz o Wielkanocy, to jakie obrazy pojawiają się w Twojej głowie?

Pochodzę z rodziny prawosławnej, więc Wielkanoc kojarzy mi się przede wszystkim z nocnym pójściem do cerkwi i ze słuchaniem chóru. Liturgia trwała długo, ale pamiętam, że kiedy wracaliśmy do domu, miałam w sobie prawdziwe poczucie odrodzenia. Jakby to, co przez cały rok było ciężarem, nagle odpadało. Może także dlatego, że to jest przecież czas wiosny: budzi się ziemia, zmienia się powietrze, pachnie wilgotną ziemią i wiatrem, i człowiek naprawdę czuje, że nadchodzi coś nowego. Jako dziecko nie umiałam tego jeszcze nazwać, nie myślałam wtedy w kategoriach zmartwychwstania czy biblijnej opowieści. Ale miałam bardzo głębokie, wewnętrzne przekonanie, że wszystko można zostawić za sobą i zacząć od nowa. I dla mnie tym właśnie jest Wielkanoc: nowym początkiem. Sprzyja temu natura, sprzyja spotkanie z bliskimi, sama obecność rodziny. Kojarzy mi się też z jasnością, z pastelowymi kolorami, z miękkim światłem, z czymś delikatnym i uduchowionym. Każde święta mają dla mnie inną barwę i inną temperaturę, ale Wielkanoc jest po prostu początkiem. Nowym początkiem.

KSIAŻKA



Katarzyna Bonda,
„Dom bestii”, Wyd. Muza,
Warszawa 2026

TAJEMNICA WYSPY WIELKANOCNEJ

Wyspa Wielkanocna znana jest głównie z gigantycznych posągów, które nadają krajobrazowi niepowtarzalny charakter. Co wiemy o tym tajemniczym skrawku lądu na Pacyfiku?

Grzegorz Kuczyński

W 1772 roku Niedziela Wielkanocna przypadała (jak w tym roku) 5 kwietnia. Tego dnia marynarze płynących na zachód - od wybrzeży Chile - holenderskich statków Arend, Thienhoven i Afrikaansche Galey dostrzegli na horyzoncie nieznany ląd. Celem wyprawy Jacoba Roggeveena było odnalezienie mitycznego kontynentu Terra Australis. Gdy zacumowali w pobliżu lądu, podpływać zaczęły łodzie wypełnione ciemnoskórnymi ludźmi. Niektórych wpuszczono na pokład.

„Ta nieszczęsna istota wydawała się bardzo zadowolona z naszego widoku i wykazywała ogromne zdumienie budową naszego statku. (...) Kiedy w lustrze ukazał się mu jego własny obraz, nagle cofnął się, a następnie spojrzął na tył szkła, najwyraźniej w nadziei odkrycia przyczyny tego zjawiska. Po tym, jak wystarczająco się nim zachwyciliśmy, a on nami, odpłynęliśmy z nim w jego kajaku w kierunku brzegu” - tak opisywał to spotkanie jeden z oficerów, Karl Friedrich Barons.

To był pierwszy kontakt Europejczyków z mieszkańcami wyspy, którzy nazywali siebie Rapa Nui. Przybysze nadali jednak odkrytemu lądowi inną nazwę: Wyspa Wielkanocna. Leżąca na środku południowego Pacyfiku jest do dziś najbardziej odizolowanym zamieszkanym miejscem na ziemi. Najbliżej leżą Chile na wschodzie (3500 km) i Tahiti na północnym zachodzie (4200 km).

Odkrywczy z ludu Rapa Nui

Zamieszkujący wyspę ludzie, którzy powitali Holendrów, pochodzili z zachodu. To byli potomkowie polinezyjskich odkrywców, którzy po raz pierwszy postawili stopę na tej tropikalnej wyspie w przedziale czasowym 700-1200 r.

Odkrycie wyspy było niezwykłym osiągnięciem,

zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nie dysponowali żadnymi urządzeniami nawigacyjnymi i poszukiwali skrawka ziemi nadającej się do zamieszkania, dostrzeżonego podczas poprzedniej wyprawy. Jednak gdy ich łodzie bezpiecznie przybiły do złotych plaż Rapa Nui, stało się jasne, że ta niebywale niebezpieczna podróż była tego warta. Wyspa była pokryta bujnym lasem i tętniła życiem ptaków i ryb. To, co znaleźli, było dosłownie rajem na ziemi.

Jednak gdy kilkaset lat później na wyspie pojawili się pierwsi Europejczycy, wyspa wyglądała zupełnie inaczej. Była niemal zupełnie pozbawiona drzew, które nie mogły odrosnąć tak szybko, jak były wycinane. Brak drzew uniemożliwił wyspiarzom budowę nowych łodzi i przyspieszył erozję wierzchniej warstwy gleby, powodując znaczny spadek wydajności rolnictwa. Zamiast tropikalnego raju Holendrzy zobaczyli zakurzony, pozabawiony lasów krajobraz.

Uwagę przybyszów przyciągało jedno: wielkie posągi. Początkowo zdumieni Holendrzy myśleli, że są wykonane z gliny. W rzeczywistości wyrzeźbiono je głównie z miękkiej skały wulkanicznej, znanej jako tuf. Miękki, łatwy w obróbce tuf okazał się idealny do rzeźbienia, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że starożytni mieszkańcy Rapa Nui pracowali wyłącznie przy użyciu kamiennych narzędzi zwanych toki.

W kulturze polinezyjskiej rzeźbiarstwo było szanowanym zawodem, o czym świadczą 1043 posągi na wyspie. Znane jako moai, posągi te są powszechnie nazywane na całym świecie „głowami z Wyspy Wielkanocnej”. Mają one jednak również tułowia, choć większość z nich jest zakopana pod warstwami ziemi. Wyrzeźbione w latach 1400-1650 n.e., największe z moai mają ponad 9 metrów wysokości i ważą około 82 ton.



Majestatyczne posągi moai to wizytówka Wyspy Wielkanocnej

Powszechnie uważa się, że posągi zostały stworzone, aby uczcić przodków, wodzów lub inne ważne postacie w społeczeństwie Rapa Nui. Ponieważ zostały one zbudowane jako hołd dla kogoś i często służyły jako miejsce pochówku, wygląd każdego posągu jest inny, a posągi zostały wykonane tak, aby przypominały osobę, którą honorują.

Kolejne wyprawy Europejczyków

Rozczarowani wyspą Holendrzy długo na niej nie zabawili. Kolejni zagraniczni goście przybyli dopiero 15 listopada 1770 r.: dwa statki wysłane przez wicekróla Peru, Manuela de Amata, i dowodzone przez Felipe Gonzáleza de Ahedo. Hiszpanie spędzili pięć dni na wyspie, przeprowadzając bardzo dokładne badania jej wybrzeża, i nazwali ją Isla de San Carlos, przejmując ją w imieniu króla Karla III Hiszpańskiego, a także uroczyste wznosząc trzy drewniane krzyże na szczytach trzech niewielkich wzgórz.

Minęło kilka lat, zanim kolejny europejski statek zacumował u brzegów Rapa Nui. To był sławny brytyjski odkrywca James Cook - w 1774 roku. Sam dowódca wyprawy był zbyt chory, by daleko chodzić, ale niewielka grupa przez kilka dni

badła wyspę. Fragmenty dziennika pokładowego Cooka rysują smutny obraz lądu. Chociaż opisał plantacje ziemniaków, bananów i trzciny cukrowej, określił wyspę jako „jałową i pozbawioną drzew”. Widział niewiele zwierząt i ptaków i twierdził, że ludzie mieszkali w „niskich, nędznych chatkach”.

Kolejnymi Europejczykami na wyspie byli Francuzi w 1786 roku. Słynny odkrywca Jean François de Galaup La Pérouse sporządził szczegółową mapę lądu. Ponieważ kolejne publikowane mapy coraz częściej uwzględniały Wyspę Wielkanocną, w XIX wieku stała się ona popularnym punktem zapotrzebowania dla statków polujących na foki i wieloryby. Przybysze wykorzystywali miejscową ludność dla swych celów.

Na podpadły lud Rapa Nui największy cios spadł jednak w grudniu 1862 r., gdy z Peru uderzyli łowcy niewolników, porywając od 1500 do 2000 osób (około połowy populacji wyspy). Peruwiański rząd zwrócił potem wolność niektórym wyspiarzom, tyle że wracając przywieźli ze sobą ospę. Epidemia zdziesiątkowała znaczną część populacji Wyspy Wielkanocnej.

Wkrótce potem przybył Eugène Eyraud, pierwszy misjo-

narz chrześcijański. Masowe nawrócenia wyspiarzy rozpoczęły się w 1866 roku, a w ciągu dwóch lat prawie cała populacja była już rzymskokatolicka. Jednak choroba uderzyła ponownie. Epidemia gruźlicy zabiła jedną czwartą pozostałej populacji, pozostawiając przy życiu mniej niż 1000 rdzennych mieszkańców.

W 1888 roku wyspa została oficjalnie przyłączona do Chile, swojego geograficznego sąsiada. Czy im się to podobało, czy nie, mieszkańcy Rapa Nui stali się obywatelami Chile, co zakończyło ich tysiącletnią niezależność.

Tajemnica Wyspy Wielkanocnej

W 1915 roku na Rapa Nui wylądowała Katherine Routledge. Przy wsparciu British Museum i Królewskiego Towarzystwa Geograficznego oraz z pomocą mieszkańca wyspy o imieniu Juan Tepano sporządziła szczegółowe zapisy dotyczące posągów moai i odkopała ponad 30 z nich. Katherine przeprowadziła również wywiady z osobami, które pozostały na wyspie.

W 1919 roku opublikowała relację ze swojego pobytu w książce zatytułowanej „Tajemnica Wyspy Wielkanocnej”. Książka cieszyła się popularnością i pobudzała wyobraźnię

opinii publicznej, ale niewielu turystów mogło odwiedzić wyspę z powodu braku środków transportu. Zmieniło się to w 1967 roku wraz z pojawieniem się cotygodniowych lotów z Santiago w Chile. Wkrótce na całej Rapa Nui zaczęły powstawać hotele i infrastruktura, aby sprostać napływowi turystów.

W 1995 roku UNESCO wpięło Wyspę Wielkanocną na listę światowego dziedzictwa, uznając ją za miejsce „dziedzictwa kulturowego i naturalnego o wyjątkowej wartości dla ludzkości”. Popularność wyspy wciąż rośnie. Obecnie odbywa się kilkanaście lotów tygodniowo z Chile, a rocznie odwiedza Wyspę Wielkanocną ponad 150 tys. turystów. Liczba mieszkańców wynosi około 7500, choć mniej niż połowa z nich to rdzenni mieszkańcy Rapa Nui. Turystyka jest ich głównym źródłem utrzymania.

Pomimo upływu wieków i licznych zmian, jakie przeszła wyspa, większość moai pozostała na swoim miejscu. Te gigantyczne kamienne posągi czuwały, gdy zmieniał się krajobraz, gdy przybywali i odchodzili odkrywcy, najeźdźcy i handlarze niewolników, a także gdy wielka społeczność powstawała, upadała i ponownie się odradzała.

W KULTURZE POLINEZYJSKIEJ RZEŹBIARSTWO BYŁO SZANOWANYM ZAWODEM, O CZYM ŚWIADCZĄ 1043 POSĄGI ZNAJDUJĄCE SIĘ NA WYSPIE WIELKANOCNEJ

Dla właścicieli to więcej niż pojazdy. To projekt. Pasja. Obsesja!

eż
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Są samochody i motocykle, które służą tylko do jazdy. I są takie, które robią coś znacznie więcej - robią wrażenie! Przyciągają spojrzenia, zatrzymują na chwilę i są pasją właścicieli.

Tych, dla których ich samochód lub motocykl to coś wię-

cej niż tylko środek transportu, zaprosiliśmy do udziału w kolejnej odsłonie konkursów ALE FURA! i ALE MOTOR!, w ramach plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji.

Spójrzcie na te zachwycające maszyny, które już biorą udział w akcji, a które ktoś wybrał albo „same znalazły” właściciela. Czasem były marzeniem od lat. Czasem porywem serca, który przerodził się

w przygodę na lata. Czasami pozostały nietknięte, a czasami zmieniały się - dopracowywane, poprawiane. Zawsze wychowane. Dla miłośników takich pojazdów lakier nie jest po prostu „czarny”. On ma odcień, o którym można rozmawiać godzinami. Ryk silnika to najpiękniejsza muzyka. Detale, dla jednych niezauważalne, dla nich są radością dla oczu. Bo dla właścicieli takie auto czy moto-

cykl to więcej niż pojazd. To projekt. To pasja. To trochę jak miłosa obsesja. Coś, czym chce się pochwalić - i teraz jest to możliwe! - Wspólnie stworzymy wyjątkową galerię samochodów i motocykli z naszego regionu - maszyn z duszą, historią i charakterem. Takich, z których właściciele są naprawdę dumni - mówi Daria Jankiewicz-Kaczmarek, która jest odpowiedzialna za realiza-

cję Mistrzów Motoryzacji we wszystkich gazetach Polska Press Grupy. Pierwsze dni głosowania za nami, dlatego dziś podziwiamy pierwszych liderów kolejnej odsłony konkursów ALE FURA! i ALE MOTOR! W głosowaniu Czytelników wyłonimy te pojazdy, które staną się... gwiazdami! Bo trafią i do wyjątkowego kalendarza na 2027 rok, i na okładkę specjalnego dodatku do naszej gazety

podsumowującego akcję Mistrzowie Motoryzacji. Awansują też do ogólnopolskiego finału, gdzie powalczą o tytuły Fura Roku i Motor Roku, by poznać je cała Polska! Chcemy też pisać o tych cudach motoryzacji, dlatego... Jeśli już startujecie w akcji, opowiedzcie swoją historię. A jeśli jeszcze nie bierzecie udziału, ciągle możecie się zgłosić! Więcej na www.polska-news.pl/moto

LIDERZY W KATEGORII ALE FURA!



1. Fiat Seicento, 2004, Paweł Makarewicz, Ząbki



2. Chevrolet Camaro, Wiesław Kwatek



3. BMW E39 530i, 2002, Krzysztof Jackowski



4. Opel Astra, 2007, Szymon Stańczyk, Radom



5. Ford Focus mk1, 1999, Mateusz Bogusławski, Wilcza Góra



6. Camaro, 2010, Dominik Pakoca, Leoncin



7. BMW 7 E38, 1998, Michał Skulimowski, Łosice



8. Peugeot 206 GTI, 2001, Piotr Filipiński, Warszawa



9. Dodge Ram, 2023, Marcin Kotowski, Radom



10. BMW e34, 1989, Seweryn Czerner

LIDERZY W KATEGORII ALE MOTOR!



1. Yamaha Raider 1900, 2011, Dominik Szymanowicz



2. Honda Shadow, 1996, Łukasz Pietruczanis



3. Yamaha MT 09, 2017, Jan Kulmaczewski, Warszawa



4. Harley Davidson Forty eight, 2016, Krzysztof Bagiński, Płock



5. Triumph Boneville Bobber, 2017, Marcin Cheda, Hża



6. Harley davidson softtail custom, 2007, Przemysław Kłosowski



7. Yamaha R6, 2005, Marcin Kot, Radom



8. Indian Scout, 2020, Andrzej Włodarczyk



9. BMW r12, 1940, Daniel Lutyński, Otrębusy



10. Honda Cbr600rr pc 37, Krystyna Dziekańska

ZIELEŃ MIEJSKA PRZY ULICY ŻŁOTEJ - OPRÓCZ NOWYCH DRZEW - POJAWI SIĘ TEŻ OGRÓD LINEARNY

Złota wkrótce będzie zielona. 45 nowych drzew czeka na zasadzenie

Maciej Koprowicz
Warszawa

W ścisłym centrum Warszawy właśnie rozpoczyna się kolejny etap intensywnego zazieleniania. Przy ulicy Żółtej tej wiosny pojawi się ponad czterdzieści nowych drzew.

Drzewa na razie oczekują na ulicy na posadzenie. Należą one do gatunku wyjątkowo odpornego na miejskie warunki.

Ta ulica wiązków nie będzie straszyc

Na ulicę Żółtą właśnie przyjechały w specjalnych workach wiązki (Ulmus) odmiany „New Horizon” z grupy Resista, które już wkrótce wniosą znaczący zielony akcent w budowane Nowe Centrum Warszawy.

Inaczej niż w horrorach o Freddy'emu Kruegerze te wiązki nie będą przerażać. „New Horizon” to odmiana idealnie sprawdzająca się w wielkomiejskim krajobrazie, ponieważ jest bardzo odporna



Młode wiązki już czekają na nasadzenie w ścisłym centrum stolicy. Działania w centrum rozpoczęły się w pierwszej połowie marca, od prac przygotowawczych

na wysokie temperatury, a nawet zanieczyszczenia. Należące do niej drzewa zostały już posadzone w bliskim sąsiedztwie Żółtej, przy ulicach Zgoda i Henryka Sienkiewicza. Wiązki na Żółtej będą stanowić uzu-

pełnienie nasadzeń z poprzedniego roku.

Kiedy będą posadzone wiązki przy Żółtej?

Sadzenie drzew przy Żółtej koordynuje Zarząd Dróg Mie-

jskich. Działania w tym miejscu rozpoczęły się w pierwszej połowie marca, od prac przygotowawczych pod zasadzenia. Na początek przygotowane zostały doły oraz systemy stabilizujące. Sadzenie drzew, które

ląda moment się rozpocznie, potrwa do połowy kwietnia. Drogowcy przypominają, że wiosna to najlepszy czas na sadzenie drzew, ponieważ wiązki obecnie znajdują się jeszcze w stanie spoczynku wegetacyjnego. Dzięki temu nowe drzewka mogą przyjąć się w glebie od pierwszych sezonów.

Za sprawą nowych drzew ulica Żółta zyska więcej cienia i lepszy mikroklimat, co przełoży się na większy komfort mieszkańców i odwiedzających. W ramach całej inwestycji Nowe Centrum Warszawy na przebudowanym terenie pojawi się aż dwieście nowych drzew.

Zielone Centrum Warszawy

Drzewa to nie jedyna zielona inwestycja w ramach przebudowy kwartału Żółta-Zgoda-Jasna-Sienkiewicza. Powstaje tam również ogród linearny, zakładający wprowadzenie ciągłej, uporządkowanej zieleni. W kolejnym etapie zazieleniania terenu pojawi się tam również niska roślinność.

Prace te obejmą ulice Żółtą i Zgoda, a w zależności od harmonogramu, także okolice Domu pod Orłami. Rozpocząć się mają w połowie kwietnia i potrwać do końca maja.

Inwestycja w ścisłym Śródmieściu, prowadzona w ramach budowy Nowego Centrum Warszawy, rozpoczęła się latem 2024 r. Obejmuje ona przebudowę całego kwartału ulic Jasna, Sienkiewicza, Żółta i Zgoda, o łącznej powierzchni 2,5 hektara. Jej celem jest stworzenie w tym miejscu wygodnej, przyjaznej przestrzeni miejskiej, wzorem okolic Brackiej, Chmielnej, placu Pięciu Rogów i placu Centralnego (placu Defilad), które już przeszły wielkie zmiany.

W następnych latach realizowany będzie bliźniaczy obiekt do MSN-u, czyli siedziba teatru TR. Niestety, na później została przesunięta również odbudowa pawilonu Emilia. Kultowy modernistyczny budynek został rozebrany w 2016 roku, a miasto wraz z deweloperem miało postawić go w Parku Świętokrzyskim.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kozłowski**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciniński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

AGD

EKSPRES do kawy duży, zabytkowy
Kupię tel.576-948-827

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Błonie tel.
668 085 925

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 60+ w maju od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba
601-585-510 www.danaustronie.pl

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →

sk **stronaKOBIEC**



O kobietach i dla kobiet

stronakobiet.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

ŁATWIEJ WYGRAĆ NA BOISKU NIŻ W ŻYCIU. ALE GRA WCIAŻ TRWA

Zapowiadał się na świetnego piłkarza. Strzelił bramkę Realowi Madryt, zdobył dwa gole w debiucie w reprezentacji Polski. Później Krzysztof Baran znalazł się na życiowym zakręcie. Dziś ma 66 lat i odbudowuje swoje życie

Anna Gronczewska

Krzysztof Baran w lipcu skończy 66 lat. Jest w y c h o w a n k i e m Gwardii Warszawa, trzy i pół roku grał w Łódzkim Klubie Sportowym, z Górnikiem Zabrze zdobywał Mistrzostwo Polski i grał w europejskich pucharach. Czasami wspomina bramkę, którą strzelił Realowi Madryt na stadionie Bernabéu w Madrycie.

- Związka jak oglądam w telewizji mecze Realu Madryt - dodaje. - To było niesamowite uczucie. Pierwszego gola dla Górnika strzelił Piotrek Jegor, potem ja zdobyłem bramkę. Jeszcze piętnaście minut przed końcem meczu to my byliśmy w kolejnej rundzie Pucharu Europy. Ostatecznie Real wygrał 3:2.

W reprezentacji Polski zagrał dziesięć razy. W debiucie z Urugwajem strzelił dwa gole. Polska zremisowała 2:2. To było w 1986 roku, dwa lata przed meczem z Realem. Niestety, nie pojechał na mistrzostwa świata do Meksyku, choć był w szerokiej kadrze Antoniego Piechniczka.

- Może gdyby wiosną ŁKS grał lepiej, to pojechalibyśmy na mundial do Meksyku? - zastanawia się Krzysztof Baran. - Nie wybiłem się. A Jasiu Furtok strzelił Górnikowi trzy bramki w finale Pucharu Polski i on pojechał na mundial. Antoni Piechniczek wziął do kadry tych, którzy byli w najlepszej formie.

Najlepiej wychodziły mu debiuty

Krzysztof Baran opowiada, że w piłkę grał od zawsze. Tak wielu chłopaków zaczynał na podwórku, przed blokiem w rodzinnej Warszawie. Miał osiem lat, gdy zapisał się Gwardii. Pojechał z drużyną na turniej do podwarszawskich Włoch i tam bardzo wysoko przegrali. Krzysiek zniechęcił się do piłki, przestał chodzić na treningi. Do szkoły przyszli trenerzy gimnastyki sportowej, było z pięćdziesięciu kandydatów i wybrali jego. Przez rok trenował gimnastykę, ale tęsknił za piłką. Wrócił do Gwardii.

- Ten klub był najbliższy mojemu domu, cztery - pięć przy-

stanków - tłumaczy były piłkarz ŁKS-u. - Jak szedłem pieszo, to po 15 minutach byłem na stadionie.

W Gwardii Warszawa stಾನowi tercet napastników, o którym mówiono w całej Polsce. Byli to Krzysztof Baran, Marek Banaszek i Dariusz Dziekanowski. Jednak Gwardia spadła z ekstraklasy. Dziekanowski odszedł do łódzkiego Widzewa, Banaszek do Wisły Kraków. Barana chciała Legia, ale Gwardia go tam nie puściła. Do Legii wcześniej poszli Dariusz Wdowczyk, Andrzej Sikorski. Jemu Gwardia dała zgodę na transfer do Łódzkiego Klubu Sportowego.

Po przyjeździe do Łodzi dostał mieszkanie na Bałutach, jego sąsiadem był Marek Chojnacki, legenda ŁKS-u.

- Mieszkaliśmy w sąsiednich blokach, okna w okna - mówi Krzysztof.

Czasy spędzone w ŁKS-ie wspomina dobrze, choć sukcesów klubowych nie osiągnęli. Ale wejście do zespołu miało świetne.

- Pierwszy mecz zagrałem w Pucharze Polski z Widzewem, a więc od razu derby -

wspomina. - ŁKS wygrał. Ja w debiucie strzeliłem bramkę, miałem asystę. Zresztą debiuty miałem zawsze dobre. Byłem w reprezentacji Polski U 20 i na mistrzostwach świata zajęliśmy czwarte miejsce. W meczu z Urugwajem, który dawał nam brązowy medal w karnych, nie strzeliłem jedenastki. Ale wtedy grałem przeciw Diego Maradonie. Tego się nigdy nie zapomni.

Talon na auto? Proszę bardzo!

Po trzech i pół roku odszedł z ŁKS-u i został piłkarzem Górnika Zabrze. Przechodził do Mistrza Polski, kolejny tytuł klub zdobył już z Krzysztofem Baranem w składzie. Górnik był wtedy najmocniejszym klubem w Polsce.

- Organizacyjnie był tam światowy poziom - opowiada Krzysztof Baran. - O nic nie musieliśmy się martwić. Wtedy mięso, wędliny były na kartki, to nie było problemem. Mieliśmy wszystko.

Pamięta, że dostał wtedy talon na auto, chciał poloneza. Pojechali po samochód z kierownikiem drużyny Edwardem Sochą i innym piłkarzem Gór-

nika, też reprezentantem Polski Robertem Warzychą.

- Ale w salonie nie było polonezów więc dostałem ładę - dodaje. - Kontakt z Górnikiem Zabrze miałem podpisany na trzy lata. Po półtora roku miałem dostać inne auto, ale odszedłem z Górnika i wyjechałem do Grecji.

Krzysztof Baran przypomina, że w PRL-u piłkarz, by wyjechać za granicę, musiał mieć 28-30 lat. Dla młodszych takie wyjazdy były zakazane. Kiedy dostał ofertę z AE Larissy, nie zastanawiał się długo i zdecydował na wyjazd. Larissa była wtedy mistrzem Grecji, a jej trenerem Jacek Gmoch.

- Tylko jak ja przyszedłem do Larissy, to Gmoch wyjechał do Aten i został trenerem Panathinaikosu - tłumaczy były piłkarz ŁKS. - Potem miałem wyjechać na Cypr, jednak wybrali kogo innego.

Po wояżach zagranicznych nie wrócił do rodzinnej Warszawy, ale do Łodzi.

- Wróciłem do Łodzi, bo tu miałem mieszkanie - wyjaśnia.

Grał jeszcze w Pabianicach, trenował młodych chłopaków, trochę jako wolontariusz w Rudzkim Klubie Sportowym.

Piłkę przestał kopać w 1995 roku.

Gdy życie stało się kontuzją

Życie Krzysztofa Barana nie ułożyło się tak, jak chciał. Przez całą karierę nie miał poważnych kontuzji, ale kłopoty ze zdrowiem rozpoczęły się, gdy przestał grać. Przeszedł trzy operacje kręgosłupa, ma wymienione dwa biodra.

- Moja kariera mogła potoczyć się inaczej, popełniałem błędy - przyznaje dzisiaj Krzysztof Baran.

Był czas, gdy było u niego bardzo źle. Został bez środków do życia. Rozwiódł się z żoną. Pojawił się alkohol.

Przed rozwodem żona nie pracowała. Krzysztof utrzymywał rodzinę. Dzieciom i żonie niczego nie brakowało. Piłkarze nie żyli na tak wysokim poziomie jak teraz, choć na wyższym niż przeciętny Polak.

Po rozwodzie wszystko się zmieniło. Mieszkanie na Bałutach było zadłużone, musiał je sprzedać, by spłacić długi. Przeprowadził się do kamienicy na Chojnach. Gdy się rozwiódł z żoną, sąd zasądził mu alimenty. Po 400 złotych

na każde dziecko, a było ich czworo,

- Tłumaczyłem sądowi, że nie mam takich dochodów, by płacić wysokie alimenty - wspomina. - Sędzia uspokajał, że będzie za mnie płacił bank alimentacyjny. Tyle że bankowi też trzeba płacić.

Gdyby nie Boniek, gdyby nie Agnieszka

Pracował w barze, potem w zakładzie mięsny, żyło mu się coraz gorzej. W najtrudniejszych momentach pomógł mu Polski Związek Piłki Nożnej, jeszcze wtedy gdy prezesem był jego kolega z boiska Zbigniew Boniek. Raz związek wysłał go do sanatorium do Ciechocinka. Dostał ze związku dwa razy zapomogę.

Ale największym szczęściem było spotkanie Agnieszki, z którą jest już 15 lat. To ona pomogła mu w najcięższych chwilach. Mieszkają razem, starają się wiazać koniec z końcem, normalnie żyć.

Teraz Krzysztof Baran dostaje 1400 zł emerytury miesięcznie, z czego zostaje mu 800 zł. Resztę ściąga komornik na alimenty.

- Mam 40-50 tysięcy złotych zadłużenia - twierdzi Krzysztof Baran. - Zdaje sobie sprawę, że tego długu nie spłacę.

Krzysztof Baran ma pięcioro dzieci - Roberta, Katarzynę, Rafała, Aleksandrę i Martę. Cieszy się, że ułożyły sobie życie. Starsza córka już wiele lat mieszka w Anglii, tak jak najstarszy syn Robert. On trochę grał w piłkę, trenował go nawet ojciec.

Czasem na ulicy Krzysztofa rozpoznają kibice. Trudno opisać, ile mu to sprawia radości.

Dziś nie ma wielu marzeń. Najważniejsze to zdrowie.

- No i chciałbym wygrać dużą sumę w totolotka! - śmieje się Krzysztof Baran. - Wtedy spłaciłbym dług i zaczął normalnie żyć.



Życie nie oszczędzało świetnego piłkarza. Na boisku wiodło mu się znacznie lepiej. W tym roku kończy 66 lat i nie traci optymizmu



Krzysztof Baran przechwytuje wyniki z gazet, świadczące o jego wielkich sportowych sukcesach

